

[horyzont dzieła]

# Piotr Sitkiewicz: Schulz w Roju

## Poszukiwanie wydawcy

Kiedy Bruno Schulz ukończył swoją pierwszą książkę, jak każdy debiutant stanął przed koniecznością znalezienia wydawcy. Odbłyło się to nie bez trudności. Jego znajoma, Kinga Czajka, wspominała: „Pierwszy wydawca rzecz odrzucił. Schulz po tym fakcie przez parę tygodni nie wychodził z domu, tak był przybity. Mówił o bezradności przyjaciół, którzy chcieliby mu pomóc”<sup>1</sup>. Do owych przyjaciół należały Debora Vogel i Rachela Auerbach. Rękopis czytali także Karol Irzykowski, Adam Ważyk i Stefan Szuman, który wspominał: „Pamiętam, jak któregoś wieczoru [Schulz] podszedł do mnie do stolika w hotelu, gdzie wypoczywałem sobie samotnie. Oświadczył, że moje wykłady przekonały go do mojej osoby i że to jest motywem jego prośby, abym przeczytał maszynopis jego powieści”. Czytał całą noc, w zachwycie. „Następnego rana oświadczyłem, że gotów jestem dać do przeczytania jego utwór K. Czachowskiemu, z którym byłem w stosunkach przyjaznych”. Kazimierz Czachowski zaś był prominentnym literaturoznawcą i krytykiem, autorem przekrojowych prac dotyczących współczesnej literatury. „Po powrocie do Krakowa omówiłem sprawę z Czachowskim, który ją poparł i chyba pomógł w znalezieniu wydawcy”<sup>2</sup>.

---

1 Z relacji ustnej Kingi Czajki około 1960 roku, Lublin, RDM1 5/18 – notatka Jerzego Ficowskiego, w: *Bruno Schulz w oczach świadków. Listy, wspomnienia i relacje z archiwum Jerzego Ficowskiego*, zebrał, oprac., wstępem i przypisami opatrzył J. Kandziora przy współpracy zespołu Pracowni Schulzowskiej Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Gdańskiego pod opieką S. Rośka i M. Ogonowskiej, Gdańsk 2022, s. 71.

2 List Stefana Szumana do Jerzego Ficowskiego z 25 stycznia 1968 roku, w: *Bruno Schulz w oczach świadków*, s. 283–284. O okolicznościach wydania *Sklepów cynamonowych* pisali między innymi

W liście z 24 lipca 1932 roku Schulz pisze Szumanowi: „Bardzo dziękuję za starania Pańskie dookoła wydania mej książki. Nie wiem jakie prawo mam do czasu i starań Pana Prof. Może ułatwi to sprawę, jeżeli zakomunikuję Panu Prof., że brat mój, który jest człowiekiem dobrze sytuowanym przyrzekł mi przyczynić się finansowo do wydania tej pracy tak, że część lub, gdyby być musiało, całość kosztów wzięłby na siebie. Chodziłoby zatem głównie o znalezienie poważnej firmy wydawniczej, dobrze prowadzonej i umiejącej odpowiednio swe wydawnictwa reklamować oraz o zapewnienie odpowiedniej szaty zewnętrznej. Okładkę sam narysuję sobie. Myślałem o ilustrowaniu tej rzeczy drzeworytami wśród tekstu jak książki z początku 19-go wieku, ale nie wiem, czy to zrobię. Chciałbym już wydać tę rzecz, gdyż z każdym dniem sytuacja umysłowa staje się dla niej niekorzystniejsza”<sup>3</sup>. List ten potwierdza, że istotnie Szuman pomagał Schulzowi w znalezieniu wydawcy. Z kolejnego znanego listu, datowanego 22 października 1933 roku, wynika, że jakaś bliżej nieokreślona krakowska oficyna była zainteresowana publikacją *Sklepów cynamonowych*, ostatecznie jednak Schulz informuje, że książka ukaże się w Roju, w którym dano mu „lepsze warunki niż w Krakowie”<sup>4</sup>.

Najwyraźniej starania Szumana nie doprowadziły do publikacji *Sklepów* albo też krakowski wydawca ostatecznie zrezygnował z ich wydania. W każdym razie Schulz musiał być w desperacji, skoro za namową Debory Vogel zdecydował się na ostateczny krok – pojechać do Warszawy i uzyskać rekomendację wybitnej powieściopisarki i znanej w środowisku literackim opiekunki młodych talentów, Zofii Nałkowskiej. Historia ta, relacjonowana Jerzemu Ficowskiemu przez Alicję Giangrande, była już wielokrotnie opowiadana, przypomnę więc tylko jej ogólny zarys: Schulz zatrzymuje się w warszawskim pensjonacie należącym do matki Magdaleny Gross, przyjaciółki Nałkowskiej, wymusza, by telefonicznie połączono go z pisarką, przyjeżdża do jej mieszkania, czyta fragment i zostawia rękopis, a następnie przed telefonem w pensjonacie czeka na wyrok. W końcu Nałkowska telefonuje. „Jest to najbardziej sensacyjne objawienie w naszej literaturze!” – krzyczy do słuchawki. „Jutro lecę do Roju, aby jak najprędzej wydano tę książkę!” Tego samego dnia Schulz wraca do Drohobycza z nadzieją, że protekcja Nałkowskiej, uważanej według cytowanej relacji za *éminence grise* Roju, wreszcie puści sprawę jego debiutu na właściwe tory<sup>5</sup>.



Jerzy Ficowski (*Regiony wielkiej herezji i okolice. Bruno Schulz i jego mitologia*, Sejny 2002, rozdz. *Prehistoria i powstanie „Sklepów cynamonowych”*) i Stanisław Rosiek (*Nota edytorska*, w: B. Schulz, *Dzieła zebrane*, t. 2: *Sklepy cynamonowe*, wstęp i oprac. J. Jarzębski, dodatek krytyczny S. Rosiek, oprac. językowe M. Ogonowska, Gdańsk 2019), pisałem też ja w książce *Bruno Schulz i krytycy. Recepcja twórczości Brunona Schulza w latach 1921–1939*, Gdańsk 2018, rozdz. *Krytycy i recenzenci*.

3 List Brunona Schulza do Stefana Szumana z 24 VII 1932, w: B. Schulz, *Dzieła zebrane*, t. 5: *Księga listów*, zebrał i przygotował do druku J. Ficowski, uzupełnił S. Danecki, Gdańsk 2016, s. 38–39.

4 List Brunona Schulza do Stefana Szumana z 22 X 1933, w: B. Schulz, *Księga listów*, s. 41.

5 List Alicji Giangrande do Jerzego Ficowskiego z 16 kwietnia 1985 roku, w: *Bruno Schulz w oczach*

## Wydawnictwa dwudziestolecia

Zanim przyjrzymy się kolejnym faktom, zadajmy pytanie: które wydawnictwo, jeśli nie Rój, mogłoby wydać debiutancką książkę Schulza?

Głównym ośrodkiem wydawniczym w Polsce dwudziestolecia międzywojennego były Warszawa (291 oficyn, 5073 tytuły), potem Lwów (78 oficyn, 1305 tytułów), Poznań (47 oficyn, 423 tytuły) i Kraków (46 oficyn, 276 tytułów) – a więc pomysł, by wydać książkę w Krakowie, nie wydaje się dobry. Pod względem wydawniczym Kraków był wówczas ośrodkiem prowincjonalnym, wyraźnie ustępującym nawet Lwowowi<sup>6</sup>.

Najaktywniejszymi oficynami krakowskimi w roku 1932, czyli w okresie, w którym Schulz zintensyfikował swoje poszukiwania wydawcy, były: Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy Księży Jezuitów (47 tytułów), Polska Akademia Umiejętności (25), Polskie Towarzystwo Geologiczne (22), a pierwszym wydawnictwem *stricte* literackim – Wydawnictwo Literacko-Naukowe (12). Wydawca ten szczyt swej produkcji osiągnął w roku 1931, ale już w 1933 ogłosił upadłość. W tym samym roku działalność zakończyła również Krakowska Spółka Wydawnicza, wydawca serii „Biblioteka Narodowa”. W roku 1932 nie wydała już żadnej książki, ale wcześniej sporadycznie publikowała dzieła autorów współczesnych, i to z ich finansowym współudziałem. Może więc próba zdobycia protekcji w warszawskim środowisku literackim wiązała się z upadłością jednego z tych wydawnictw?

Schulz zawsze mógł też wybrać jedną z małych oficyn, które rocznie publikowały najwyżej kilka pozycji: Księgarnię Powszechną (głównie książki z dziedziny prawa), Księgarnię Jan Czernecki (działała do roku 1931) czy Księgarnię S.A. Krzyżanowski, ale wydaje mi się, że tego raczej by nie zrobił – podkreślał bowiem, że zależy mu na wydawcy prężnym, który umie dobrze reklamować, czyli również sprzedawać swoje książki, a tego efemeryczne, niestabilne finansowo księgarnie wydawnicze na pewno nie mogły mu zaoferować<sup>7</sup>.

We Lwowie paradoksalnie nie było lepiej. Mieściło się tam co prawda potężne wydawnictwo Książnica-Atlas (w roku 1932 wydało 75 tytułów, a w latach 1932–1938 aż 712), zatrudniające setki pracowników, posiadające własną księgarnię, trzy drukarnie i oddział w Warszawie, specjalizowało się ono jednak

---

świadców, s. 91–92. Zob. też J. Ficowski, op. cit., s. 59–60; *Wspomnienie Alicji Giangrande*, w: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie. Świadectwa i dokumenty 1939–1963*, przeł. Z. Chądzyńska, A. Husarska, Kraków 2004.

6 Informacje na temat międzywojennego rynku wydawniczego podaję głównie za: N. Kraśko, *Instytucje wydawnicze w II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2001; *Słownik pracowników książki polskiej*, pod red. I. Treichel, Warszawa–Łódź 1972. Dodatkowe lektury podaję w kolejnych przypisach.

7 Na temat wydawnictw krakowskich zob. M. Pieczonka, *Wydawcy literatury pięknej w Krakowie w latach 1918–1939*, Kraków 2003.

w wydawnictwach kartograficznych, słownikach, podręcznikach i książce naukowej. W latach trzydziestych podjęło się również publikacji literatury pięknej – i zaproponowało publikację książek wielu wybitnym pisarzom, takim jak Boy czy Nałkowska, trudno jednak przypuszczać, że wydałoby debiutancki zbiorek nieznanego pisarza<sup>8</sup>. Mógł więc Schulz ewentualnie liczyć na Ossolineum (17 tytułów), które w swoim katalogu miało dzieła współczesnych pisarzy, albo na któreś z małych wydawnictw, publikujących rocznie kilka nowych tytułów. To jednak znów raczej nie wchodziło w rachubę.

Jedynym słusznym wyborem było więc wydanie książki w jednym z wydawnictw warszawskich. W tym wypadku wybór był dużo większy, choć nie przytłaczający. Największymi wydawnictwami publikującymi literaturę piękną były w roku 1932: Rój (110 tytułów), Gebethner i Wolff (93), M. Arct. Zakłady Wydawnicze (64), Księgarnia F. Hoesicka (62), a także liczne mniejsze oficyny, wydające od kilku do kilkudziesięciu tytułów rocznie, wśród nich zaś utytułowane Towarzystwo Wydawnicze Jakuba Mortkowicza (26) oraz firma Trzaska, Evert i Michalski (24). I jak można domniemywać – do jednego z tych gigantów chciał przystać Schulz.

Wydawnictwo Arcta publikowało głównie książki dla dzieci i młodzieży, podręczniki oraz słowniki i encyklopedie. Z kolei Księgarnia i Dom Wydawniczy Trzaska, Evert i Michalski specjalizowała się w encyklopediach i książkach popularnonaukowych. Pośród 320 tytułów wydanych w latach istnienia tej firmy znajdziemy tylko 27 książek beletrystycznych, a wśród nich zaledwie 15 książek polskich autorów. Te wydawnictwa musimy skreślić z listy Schulza<sup>9</sup>. Pozostały więc na niej tylko Gebethner i Wolff, Mortkowicz, Hoesick i Rój – firmy reprezentujące różne tradycje polskiego edytorstwa, różne pomysły na działalność wydawniczą i różne filozofie działania.

Większość utytułowanych polskich pisarzy związała się ze starymi firmami i nie chciała z tych związków rezygnować. Największą zaś i najważniejszą ze starych firm był Gebethner i Wolff – gigant posiadający własne księgarnie, drukarnie i oddziały w kilku polskich miastach. Wydawnictwo to w swojej ofercie miało i czasopisma, i podręczniki, i książki historyczne, miało też dużą ofertę beletrystyki, co więcej – specjalizowało się w literaturze polskiej. W jego produkcji przekłady stanowiły tylko niespełna 12 procent, a literatura piękna aż 25 procent. Do Gebethnera należeli więc najwięksi: Korzeniowski, Kraszewski, Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Konopnicka, Reymont, Berent, a wśród nich także pisarze

**8** Na temat wydawnictwa Książnica-Atlas zob. P. Kitrasiewicz, *Książnica-Atlas*, „Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2019, nr 8.

**9** Na temat Arcta zob. P. Kitrasiewicz, *Zakłady Wydawnicze M. Arct*, „Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2020, nr 2; na temat Trzaski, Everta i Michalskiego zob. M. Pieczonka, *Księgarnia Wydawnicza Trzaska, Evert i Michalski. Działalność wydawnicza*, Kraków 1993; P. Kitrasiewicz, *Księgarnia i Dom Wydawniczy Trzaska, Evert i Michalski*, „Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2019, nr 12.

współcześni Schulzowi: Nałkowska, Boy, Makuszyński, Wierzyński, Parandowski, Iwaszkiewicz. Gebethner poszukiwał też nowych talentów na polskiej scenie literackiej – wydał książki między innymi Choromańskiego, Kruczkowskiego, Gojawiczyńskiej czy Worcella. Dlaczego więc Schulz nie zawiązał do Gebethnera? Przecież to w tym wydawnictwie większość swoich książek opublikowała jego protektorka. Nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie, ale trudno odrzucić przypuszczenie, że musiało dojść choćby do próby zaoferowania mu książki Schulza. Z jakichś powodów do podpisania umowy jednak nie doszło. Być może przyczyną był kryzys, który Gebethner przeżywał właśnie w latach, w których Schulz szukał wydawcy. Kryzys ten spowodował znaczne ograniczenie produkcji i z pewnością musiał zniechęcać zarząd do inwestowania w książki ryzykowne, nierokujące sukcesu finansowego. Dodatkowo, zdaniem Ireny Krzywickiej, chociaż Gebethner był podówczas wydawcą najpoważniejszym (pozostałe oficyny, z Rojem na czele, są „pokątne, ruchliwe, ale nieuczciwe”), to jego podwoje dla niektórych środowisk pozostawały zamknięte, ponieważ była to firma prawicowa<sup>10</sup>.

Światowy kryzys ekonomiczny mocno odcisnął się również na drugim gigancie polskiego edytorstwa – Towarzystwie Wydawniczym Jakuba Mortkowicza. W ofercie tego wydawcy znajdziemy kolejne wielkie nazwiska: Żeromski, Korczak, Kaden-Bandrowski, Wierzyński, Tuwim, Dąbrowska, Leśmian, Norwid, Strug, Kasprowicz. Mortkowicz znany był z tego, że jako wydawca niechętnie kierował się kalkulacją ekonomiczną, raczej względami artystycznymi. Taka polityka skutkowałą jednak dużymi kosztami, które w latach kryzysu, przy ograniczonym kręgu odbiorców, skłonnych wydawać niemałe sumy na wysmakowane książki, skończyła się widmem bankructwa. Zniechęcony, w depresji, w roku 1931 Mortkowicz popełnił samobójstwo. Wydawnictwo po jego śmierci udało się podźwignąć jego żonie Janinie, jednak trudna sytuacja materialna z pewnością odbiła się na ofercie, a najtrudniejszym okresem był właśnie ten, w którym Schulz poszukiwał wydawcy (w roku 1932 nakładem Mortkowicza ukazało się zaledwie 26 tytułów, w kolejnych latach zawsze około 20). W roku 1933 wydawnictwo publikowało głównie poezję utytułowanych autorów: Jasnorzewskiej, Iwaszkiewicz, Wierzyńskiego, Staffa, a także prozę Dąbrowskiej, Korczaka i Straszewicza. W kolejnych latach podobnie – głównymi prozaikami publikowanymi przez Mortkowicza byli Dąbrowska, Korczak i Żeromski. Pośród debiutantów można odnotować Wojciecha Bąka, którego tom *Brzemie niebieskie* zwyciężył zresztą ze *Sklepami cynamonowymi* Schulza w wyścigu o nagrodę

10 I. Krzywicka, *Wyznania gorszytelki*, Warszawa 2013, s. 304. Na temat Gebethnera i Wolffa zob. *Z dziejów firmy Gebethner i Wolff 1957–1937*, oprac. J. Muszkowski, Warszawa 1938. Wiele ciekawych informacji na temat tego wydawnictwa podaje jego pracownik, Tadeusz Męczyński, w: *Lata z książką. Wspomnienia księgarza 1907–1957*, Łódź 1962.

„Wiadomości Literackich”. Schulz najwyraźniej nie mieścił się w profilu tego wydawcy, nie gwarantował też żadnych większych zysków<sup>11</sup>.

Pośród starych firm była jeszcze jedna – Księgarnia F. Hoesicka. Choć jej korzenie sięgały XIX wieku, miała jednak nieco inny charakter niż Gebethner i Wolff czy Mortkowicz. W roku 1913 jej współwłaścicielem, a w 1927 wyłącznym właścicielem został młody, rzutki księgarz, pracujący wcześniej w księgarni Mortkowicza – Marian Sztajnsberg – i zachowując dawną nazwę, stworzył to wydawnictwo poniekąd od nowa. Skupiało się ono na publikacji książek prawnych, rezerwując jednocześnie część swoich sił dla literatury pięknej. Hoesick publikował takich pisarzy, jak: Boy, Iwaszkiewicz, Liebert, Nowaczyński, Makuszyński, Słonimski, Wierzyński, Zegadłowicz, Witkacy czy Iłłakowiczówna, a także wielu debiutantów.

Wydanie książki u Gebethnera i Wolffa lub Mortkowicza nobilitowało, sprawiało, że nikomu nieznany autor z miejsca stawał się rozpoznawalny. Gombrowicz w *Kronosie* zapisał, że kiedy poszukiwał wydawcy dla *Ferdydurke*, przedłożył rękopis „Gebethnerowi (czy coś w tym rodzaju)”, ale ów ten rękopis „odwalił”<sup>12</sup>. Pozostało mu więc swoją drugą książkę, tak samo jak pierwszą, wydać w Roju. Otóż to. Gebethner i Mortkowicz „odwalali” rękopisy młodych pisarzy – pozostawał więc albo Hoesick, albo Rój. Poniżej była już magma wydawców efemerycznych i nieliczących się, których marka nie dawała autorowi żadnej nobilitacji ani większej szansy na przebicie się do pierwszego rzędu polskich pisarzy.

### Towarzystwo Wydawnicze „Rój”

Księgarnia Hoesicka mieściła się przy ulicy Senatorskiej 22, Mortkowicz przy ulicy Mazowieckiej 10, Gebethner i Wolff w pałacu Potockich przy ulicy Krakowskie Przedmieście 415, Rój w gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przy ulicy Kredytowej 1. Wszystkie te firmy można było obejść w ramach godzinnego spaceru.

Mortkowicz i Rój niemal ze sobą sąsiadowały. Tak opisuje to Maria Kuncewiczowa: „Na Mazowieckiej, u Mortkowicza, był salon literacki, Parnas, wdzięczne krygi poetów, szelesty poetek, ozdobne płotki Nałkowskiej, romantyka postępu, socjalistyczne peleryny, święty Korczak, Cyprianowy Miriam w zielonej peruczce. Nawracanie Judaszów faszystowskich, reprodukcje van Gogha na

<sup>11</sup> Na temat Mortkowicza zob. H. Mortkowicz-Olczakowa, *Pod znakiem kłosa*, Warszawa 1962; J. Olczak-Ronikier, *W ogrodzie pamięci*, Kraków 2004; M. Mlekicka, *Jakub Mortkowicz, księgarz i wydawca*, Wrocław 1974.

<sup>12</sup> W. Gombrowicz, *Kronos*, Kraków 2013, s. 42. To, że Gebethner „odwalił” *Ferdydurke*, potwierdził Aleksander Wat, sekretarz tego wydawnictwa (zob. K. Suchanow, *Gombrowicz. Ja, geniusz*, t. 2, Wrocław 2017, s. 296).



ścianach, ale Uroda życia tylko nad Wierną rzeką; jednym słowem Dni i noce szlachetne i patriotyczne”. Z kolei „«Rój» nie był ani salonem, ani Parnasem, chociaż drukowały się tam wszystkie współczesne znakomitości. [...] Nie było witryn ulicznych, nie było eleganckich prezentacji książek w gablotach i na lądach, nie było gabinetu wydawców, nie było kaplicy, gdzie by modne bóstwa [...] dawały się podziwiać intelektualnym snobom. W «Roju» nikt nikogo nie podziwiał, rozmowy nie miały charakteru konwersacji, tylko targów. Targów o honorarium, o wysokość nakładu, o recenzję, o prestiż [...]”<sup>13</sup>.

Z kolei Józef Wittlin szkicuje na mapie Warszawy trójkąt, w kątach którego znajdowały się księgarnia nakładowa Mortkowiczów, skąd „biła na Polskę, tzn. w jej intelektualną śmietankę, ciężka artyleria” wielkich twórców polskiej i światowej literatury, restauracja Mała Ziemiańska, gdzie „urabiała się opinia na każdy ważny temat”, i Rój, wydawnictwo niepodobne do żadnego innego, „młode, dynamiczne, bez tradycji, a więc bez skrępowań”, które „nie przywiązywało wagi do zewnętrznych pozorów i polorów”<sup>14</sup>.

Towarzystwo Wydawnicze „Rój” mieściło się w oficynie reprezentacyjnego gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego u zbiegu ulic Mazowieckiej i Kredytowej, w którym dziś swą siedzibę ma Państwowe Muzeum Etnograficzne<sup>15</sup>. Do Roju wchodziło się przez podwórko. Wnętrze według wspomnień bywalców bardziej przypominało halę fabryczną, oficynę handlową lub skład towarów niż szacowną instytucję wydawniczą. Wittlin zapisał: „«Rój» huczał i wrzał. Ciągłe ktoś wchodził i wychodził. Na sali dużej załatwiano jednocześnie kilka spraw. Na krześle obok biurka pani Hanny [Kisterowej] siedział jeden autor, a na końcu sali przy pustym przeważnie biurku pana Mariana [Kistera] czekał już inny. Inny rozmawiał z księgowym, a inny zalecał się do przystojnej blondynki, panny Poli [Królickiej]. W ciemnej sieni mijali się geniusze obu płci oraz: tłumacze i tłumaczki, rysownicy, hurtownicy, papiernicy, roznosiciele książek, drukarze i dziwni faceci z paczkami lub bez paczek”<sup>16</sup>. Kuncewiczowa zaś pisała: „u Mortkowicza zawsze te same «lwy tygrysyce», a w Roju: „faszyści i facecioniści, komuniści i dentyści, poeci bez krytyków i krytycy bez poezji – w «Roju» codziennie ktoś inny miał na sprzedaż swoją jedyną na świecie przygodę, jedyną myśl, jedyną przepowiednię”, a „tłum aspirantów do sławy nigdy się nie przerzedzał”<sup>17</sup>.

**13** M. Kuncewiczowa, *Do „Wróbla” na bigos*, w: H. Kister, *Pegazy na Kredytowej. Wspomnienia*, Warszawa 1980, s. 187.

**14** J. Wittlin, *Pegazy na Kredytowej*, w: H. Kister, op. cit., s. 160.

**15** Zob. na temat tego gmachu: J. S. Majewski, *Imponujący gmach z XIX wieku. Inspirowany Wenecją*, „Gazeta Wyborcza (Warszawa)”, 29 stycznia 2012. Oprócz siedziby przy Kredytowej Rój posiadał jeszcze własne składy przy ulicy Chłodnej 20.

**16** J. Wittlin, op. cit., s. 162.

**17** M. Kuncewiczowa, op. cit., s. 187–188.

Pośród największych polskich wydawnictw literackich tylko Rój był wydawnictwem nowym, do tego z naprawdę mikroskopijnym kapitałem założycielskim (15 000 złotych) i kapitałem zakładowym (24 000 złotych). Nie posiadał własnej drukarni ani księgarni. Całe wydawnictwo spoczywało na barkach kilku osób: dwóch dyrektorów (Melchior Wańkowicz – redaktor naczelny i Marian Kister – dyrektor finansowy, redaktor techniczny i kierownik produkcji), kasjerki (Helena Paczowska), buchaltera (Nienatkiewicz), trzech urzędniczek (Janka Kucharczyk – prenumerata, zastąpiona później przez Emila Adlera, Pola Królicka – sekretarz i Ola Obarska – prace pomocnicze). W Roju pracowała też żona Mariana Kistera, Hanna, która choć oficjalnie nie pełniła żadnej funkcji i przez długi czas nie pobierała nawet pensji, była faktycznie szarą eminencją wydawnictwa. Do tego dochodzili nieformalni doradcy: Jerzy Pański (który był również redaktorem biuletynu Roju, zatytułowanego „Nowości Literackie”), Aleksander Wat, Andrzej Stawar i Kazimierz Bleszyński, a z czasem także zespół tłumaczy, obejmujący takie nazwiska, jak Pruszyński, Ważyk, Kragen, Wittlin, Boy, Broniewski czy Boyé<sup>18</sup>.

## Dwie historie Roju

Istnieją dwie historie Roju – opowiadane z perspektywy jego dwóch dyrektorów, Melchiora Wańkowicza i Mariana Kistera. W każdej z tych dwóch historii rola współnika jest umniejszana, a nawet marginalizowana, obie jednak zdają się tworzyć pełen obraz tej instytucji.

Historię Roju według Melchiora Wańkowicza napisał on sam, głównie w tekście *Wspomnienia wydawcy* z roku 1968, zamieszczonym później w tomie *Anoda i katoda*<sup>19</sup>. Stworzenie wydawnictwa zaplanował, pełniąc funkcję naczelnika Wydziału Prasowo-Widowiskowego polskiego rządu. Wpadł na pomysł taniej, dwuarkuszowej sensacyjnej książeczki, drukowanej na żółtym, gazetowym papierze i sprzedawanej za dwadzieścia pięć groszy pod tytułem „Biblioteczka Historyczno-Geograficzna”. Wyposażony w kapitał od siostry, która spieniężyła rodzinny las, pozyskiwał za pomocą hojnych zaliczek (400 złotych) „doborowe pióra”: Tuwima, Bandrowskiego, Sieroszewskiego, Kuncewiczową czy Ossendowskiego, a także wykładowców: Kleinera, Borowego, Krzyżanowskiego czy Górskiego. Logotyp: „trzy pszczoły stylizowane, uczepione beleczki”, zaprojektował Edmund Bartłomiejczyk. Wańkowicz liczył śmiało, że jego książki będą ukazywać się w kilkudziesięciotysięcznych nakładach, dlatego

<sup>18</sup> H. Kister, op. cit., s. 24, 57.

<sup>19</sup> M. Wańkowicz, *Wspomnienia wydawcy*, w: idem, *Anoda i katoda*, t. 1, Warszawa 1980. Na temat historii Roju z perspektywy Wańkowicza zob. także: A. Ziółkowska, *Na tropach Wańkowicza*, Warszawa 1989, rozdz. *Dwie prawdy o Roju*.



opuścił ministerstwo i wraz z dwoma oficerami-inwalidami, Tworkowskim i Brynkiem, w roku 1924 założył wydawnictwo Rój. Nie bez znaczenia było to, że panowie mieli koncesję na bardzo dochodowy interes – prowadzenie hurtowni tytoniowej. Wkrótce spółkę tworzyli Wańkowicz, Tworkowski oraz Marian Kister, również oficer rezerwy, trudniący się sprzedażą książek, które brał w komis lub sprzedawał na długi kredyt. Dobrze znał zasady rządzące rynkiem księgarskim – i przekonał współników, że w wypadku taniej książki trzeba się oprzeć na sieci prenumeratorów, z pominięciem księgarni, które zarabiały na egzemplarzu 33 procent, a więc w wypadku groszowych tytułów ich zarobek wynosił 8 groszy na egzemplarzu, co było mało opłacalne, kiedy weźmie się pod uwagę, że pracy przy sprzedaży takiej książki było tyle, co przy sprzedaży książki kilkuzłotowej. Książki Roju były to zazwyczaj kompilacje, „szybkoróbstwo”, pod którym często nikt nie chciał się podpisać, więc podpisywano je pseudonimami (to dlatego liczne tomy, o różnej tematyce, sygnował niejaki dr J. P. Zajączkowski). W Roju ukazywały się serie: lotnicza, szpiegowska, morska, o słynnych kochankach, wielkich procesach, odkrywcach i wynalazcach, pod hasłem: „Nie kłamać bawiąc. Nie nudzić uczyć”. Pomysł z prenumeratą jednak zawiódł, zdaniem Wańkowicza zawiniła tu książka *Czarna msza* Juliana Tuwima (numer 1 „Biblioteczki Historyczno-Geograficznej”), którą z ambony wyklinali księża i przez którą całą serię potraktowano jak „imprezę pornograficzną”. W końcu Kister z Wańkowiczem wykupili współnika – i w roku 1926 zostali w spółce tylko dwaj, Wańkowicz przy dwóch trzecich udziałów, a Kister przy jednej trzeciej. Aby uratować upadający biznes, właściciele zdecydowali się wydawać również większe książki. Produkcja rosła, osiągając 150 wartościowych tytułów rocznie. Wydawano serię wybitnych dzieł XX wieku, tak szczęśliwie dobierając autorów, że aż pięciu otrzymało w krótkim czasie Nagrodę Nobla. Po dwunastu latach działania wydawnictwo osiągnęło względną stabilizację, przerwana dopiero wybuchem wojny.

Historię Roju według Mariana Kistera napisała jego żona Hanna we wspomnieniowej książce *Pegazy na Kredytowej*<sup>20</sup>. Jej opowieść zaczyna się nieco wcześniej niż opowieść Wańkowicza. Oboje – Marian i Hanna Kisterowie – byli Żydami. Marian jako student Uniwersytetu Lwowskiego udzielał jej korepetycji z matematyki. Zakochała się w nim i wzięli ślub, wbrew woli jej rodziców, którzy liczyli na lepszą partię. Kister zawsze uwielbiał książki. Miał za sobą karierę w armii austriackiej, jako dziewiętnastolatek w randze podporucznika dowodził kompanią na froncie włoskim i został nawet odznaczony za bohaterstwo. Jako

---

**20** Na temat historii Roju z perspektywy Kisterów zob. H. Kister, op. cit.; B. Krupa, *Działalność Roy Publishers w Nowym Jorku w latach 1941–1960 jako kontynuacja tradycji przedwojennego Towarzystwa Wydawniczego „Rój”*, „Z Badań nad Książką i Księgozbiorami Historycznymi” 2019, t. 13. Oprócz przytoczonych tu i wcześniej źródeł opieram się także na: P. Kitrasiewicz, *Towarzystwo Wydawnicze „Rój”*, „Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2019, nr 11.

żołnierz wojny polsko-bolszewickiej trafił do niewoli rosyjskiej pod Ciechanowem. Handlował książkami jeszcze jako oficer polskiego wojska. Później został wędrownym sprzedawcą, kupował resztki nakładów, w roku 1923 zaś wydał swoją pierwszą książkę, *Moje dzieciństwo* Maksyma Gorkiego. Przypadkowe spotkanie z Wańkowiczem, Tworkowskim i Brynkiem w Warszawie zakończyło się propozycją kupienia Roju, ale Kister odmówił, bo firma była już na skraju bankructwa. Zaproponowano mu więc na próbę stanowisko dyrektora „z prawem kupienia udziału lub całego przedsiębiorstwa”<sup>21</sup>.

Kister znał potrzeby rynku księgarskiego, nie bał się ryzyka, umiał przewidywać „koniunkturę i nowe upodobania czytelników”, starał się o dobrą oprawę graficzną i zapewniał książce właściwą dystrybucję – dlatego firma stała na nogi i wkrótce zaczęła przynosić zyski. Początkowo Kister odpowiadała tylko za kwestie techniczne i finansowe, za literackie zaś – Wańkowicz, wkrótce jednak sam zaczął decydować, które tytuły wydawać. Trafnie typował debiutantów (oprócz Schulza między innymi: Andrzejewski, Ważyk, Rudnicki, Gojawicyńska, Parnicki, Sergiusz Piasecki), ale potrafił też przekonać wybitnych pisarzy, by przenieśli się do jego wydawnictwa. Do grona autorów publikowanych przez niego należeli: Sieroszewski, Szelburg-Zarembina, Krzywicka, Tuwim, Boy-Żeleński, Kaden-Bandrowski, Dołęga-Mostowicz, Jasiński, Irzykowski, Parandowski, Fiedler, Pruszyński, Słonimski, Lechoń czy Wittlin. Rój dominował w dziedzinie przekładu. Dał polskim czytelnikom takich pisarzy, jak: Galsworthy, Huxley, Mann, Russell, Zweig, Kafka, Undset, Mauriac, Szolochow, Pirandello, Rolland. Kisterowie podróżowali też po świecie, by zainteresować wydawców zagranicznych polską literaturą – nie bez sukcesów.

Kiedy w roku 1935 z okazji dziesięciolecia wydawnictwa Kister i Wańkowicz udzielali wywiadu „Wiadomościom Literackim”, oznajmili, że Rój począł się z chęci walki z „szundliteraturą”. To ciekawe, że wydawnictwo, które u swoich korzeni chciało zalać kraj śmieciową, groszową książką sensacyjną, ostatecznie stało się tym, które szło „w bójkę z bezwładem czytelnicznym”<sup>22</sup> i kojarzone jest dzisiaj z wysokimi standardami przedwojennego edytorstwa. W każdym razie Rój w kilka lat pod względem liczby wydawanych tytułów stał się drugim (po Książnicy-Atlas) wydawnictwem w Polsce, pierwszym spośród wydawnictw założonych w XX wieku – prawdziwą instytucją kulturalną, wyjątkową na tle ówczesnego pejzażu wydawniczego.

21 Ciekawy paradoks II Rzeczypospolitej: żeby móc handlować książkami, trzeba było ukończyć szkołę księgarską, żeby być wydawcą – nie trzeba było mieć żadnych szkół.

22 [kr.], *Zasłużone dziesięciolecie: wywiad z Tow. Wydawniczem „Rój”, „Wiadomości Literackie” 1935, nr 10, s. 5. Pośród najbardziej cennych pozycji wymieniają też jednym tchem Schulza, Gombrowicza, Rudnickiego i Dołęgę-Mostowicza, co ma świadczyć o tym, że cenią nie tylko sukces finansowy, ale i artystyczny swoich autorów.*

## Kister czy Wańkowicz?

Historia Roju ma zatem dwóch głównych bohaterów. Pierwszy z nich to Marian Kister – blondyn o niebieskich oczach i arcycyłowiańskiej twarzy, cygan nad cygany, uroczy szalawila, pogodny Mefisto, urodzony optymista i przyjaciel ludzi, zniewalająco sympatyczny, zawsze w dobrym humorze, przedsiębiorczy, pełen energii, ciekawych historii, planów i nowych projektów, wesoły i podstępny, chętnie grający naiwnego i w istocie trochę naiwny, niefrasobliwy brat-łata, dziecko intuicji, geniusz edytorski, znawca, fachowiec, artysta. Fenomenalnie liczył, dobrze grał w szachy, lubił rozmowy, anegdoty, dowcipy i powiedzonka, umiał się bawić i świętować z autorami – ćwiartka z czerwoną kartką i gorąca kiszka kaszana. Zamiast w kantorze, godzinami przesiadywał w kawiarni, z niesłabnącą ciekawością oglądając sobie ludzki cyrk. Brakowało mu kultury literackiej, ale wynagradzał to sobie niesamowitym instynktem do ludzi. Pisarze, których wydawał, mieli mu opisywać świat, który niezmiernie go ciekawił. Jak pisała Kuncewiczowa: „Wiedział bez czytania, czy autor jest pisarzem, czy grafomanem i czy ta akurat grafomania będzie dobrym towarem. Pomyłek się nie lękał, dlatego pewnie rzadko się mylił”. Miał szczęście i wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Jego dopełnieniem zaś była we wspomnieniach pisarzy żona – piękna i małomówna królowa matka, najpracowitsza pszczołka Roju<sup>23</sup>.

Na tle Kistera Wańkowicz prezentuje się nie najlepiej. Można odnieść wrażenie, że najważniejszą stroną przedsięwzięcia wydawniczego były dla niego pieniądze. Zresztą potrzebie zapewnienia sobie niezależności materialnej poświęcił wiele lat swego życia, co sprawiło, że przyprawiano mu gębę groszoro<sup>24</sup>.

**23** Portret Kistera na podstawie książki jego żony oraz wspomnień Stefana Wiecheckiego, Piotra Yollesa, Fredericka G. Melchera, Józefa Wittlina, Stanisława Vincenza, Janusza Meissnera, Aleksandra Janty-Polczyńskiego, Hermanna Kestena, Kazimierza Wierzyńskiego i Marii Kuncewiczowej, zawartych w tomie *Pegazy na Kredytowej*, s. 36, 155–191. Marian Kister przypomina nieco Mariana Sztajnsberga, dyrektora Hoesicka. Obaj byli przedsiębiorczymi Żydami, pozbawionymi jakichkolwiek koneksji, większego kapitału, gruntownego wykształcenia, którzy włączyli się w biznes wydawniczy dzięki zamiłowaniu do książki, inteligencji i głowie do interesów. Obaj byli popularnymi postaciami warszawskiego życia towarzyskiego, posiadającymi wdzięk, fantazję i swoistą lekkość. Obaj też korzystali ze sławy, którą dawało im kierowanie utytułowanymi wydawnictwami. Jedną rzecz ich różniła. Analiza biografii obu wydawców wskazuje, że Kistera nigdy nie opuszczało niewytłumaczalne racjonalnie szczęście, którego niestety brakowało Sztajnsbergowi. Ta szczęśliwa gwiazda sprawiła, że Kister uniknął losu większości polskich Żydów i zmarł w Nowym Jorku w roku 1958. Nie udało się to jednak Sztajnsbergowi. W roku 1940 zdołał co prawda uciec do Szwajcarii, lecz tamtejsza policja uznała jego dokumenty za sfałszowane i przekazała go Niemcom. Tułaczka po więzieniach skończyła się w roku 1943 umieszczeniem go w warszawskim getcie, gdzie prawdopodobnie zmarł z głodu.

**24** Hanna Mortkowicz-Olczakowa przytacza rozmowę w Małej Ziemiańskiej pomiędzy jej ojcem a Wańkowiczem, która ma charakteryzować jego żądzę sukcesu. Wańkowicz powiedział: „– Zobaczysz pan. Przez pięć lat będę świnią, zbiję pieniądze, a potem zabawię się w Mortkowicza. – Obawiam się, że

Uważano, że nie gardził żadnym zarobkiem: zakłada Rój, jako jeden z nielicznych speców od reklamy w dwudziestoleciu zostaje doradcą Związku Cukrowników Polskich, doradcą propagandowym Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, komisarzem propagandowym Państwowych Pożyczek Inwestycyjnych, nadzoruje hurtownię tytoniową, zostaje dyrektorem przedsiębiorstwa Reklama Poczta. Co istotne, chociaż w lata nowej polskiej niepodległości wkroczył z kompleksem ziemiańskiego bankruta, „na przekór szlacheckiemu utracjuszostwu, prapolskiemu safandulstwu, inteligentkiemu niedołęstwu życiowemu i słowiańskiej nieproduktywności” osiągnął sukces finansowy i w latach trzydziestych należał już do najzamożniejszych polskich pisarzy, zyskując przy tym niezależność dającą mu nieskrępowane możliwości zajmowania się własną twórczością literacką<sup>25</sup>.

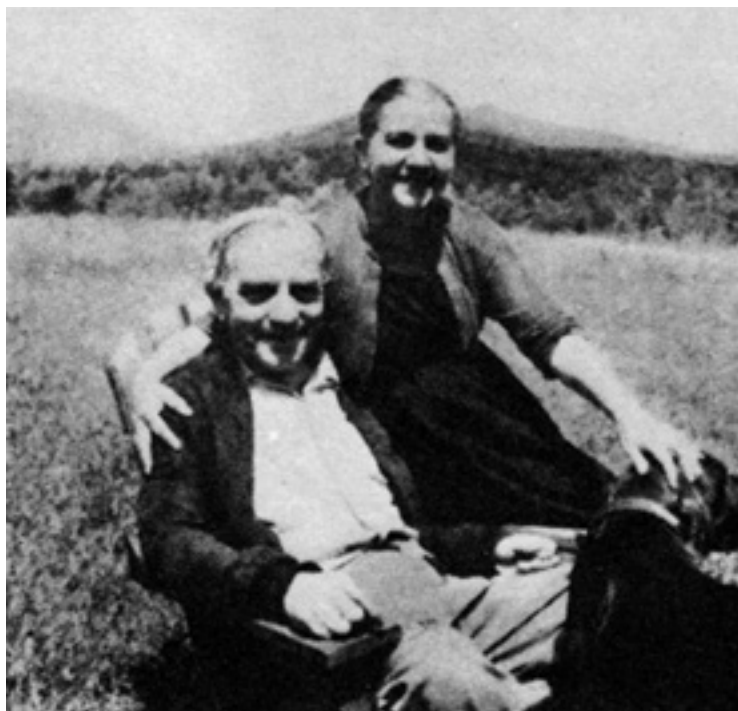
Jak było naprawdę? Oczywiście nie wiadomo<sup>26</sup>, ale świadectwa ludzi związanych z Rojem wskazują, że prawdziwym mózgiem wydawnictwa był jednak Kister. To on pojawia się jako właściciel Roju, wydawca i odkrywca młodych talentów we wspomnieniach Witolda Gombrowicza, Adolfa Rudnickiego, Teodora Parnickiego, Marii Kuncewiczowej, Kazimierza Wierzyńskiego, Piotra Yollesa, Hermanna Kestena, Aleksandra Janty-Połączyńskiego, Janusza Meissnera, Stanisława Vincenza czy Józefa Wittlina<sup>27</sup>. W listach Schulza nie znajdziemy ani wzmianki o Wańkowiczu – jako reprezentant Roju pojawia się znów tylko Kister (i Kisterowa). Jeśli ktoś w ogóle mówi o Wańkowiczu jako wydawcy, to z reguły mimochodem, jako współwłaścicielu (Meissner), „towarzyszu pancernym Roju”, tym, który rzadko bywa w kantorze przy Kredytowej, zajęty bardziej własną pracą literacką niż sprawami firmy (Wittlin). Jak pisze Kuncewiczowa: „na co dzień byli Kisterowie, a od święta Wańkowiczowie”, którzy uświetniali przyjęcia wydawane na cześć ważnych autorów<sup>28</sup>.

Drugoplanowymi bohaterami opowieści o Roju są żony Kistera i Wańkowicza (którzy, co ciekawe, nigdy nie przeszli na „ty”). Faktem jest, że Zofia Wańkowiczowa i Hanna Kisterowa bardzo się nie lubiły. We wspomnieniach Kisterowej

---

jeżeli pan będzie przez pięć lat świnią, to potem nie będzie pan już mógł być Mortkowiczem” – odpowiedział Mortkowicz (op. cit., s. 229).

- 25** Portret Wańkowicza na podstawie jego artykułu *Wspomnienia wydawcy*, książki Aleksandry Ziółkowskiej, biografii Mieczysława Kurzyny *O Melchiorze Wańkowiczu – nie wszystko* (Warszawa 1975, cytat na s. 82) i wywiadu rzeki *Wańkowicz krzepi* Krzysztofa Kąkolewskiego (Warszawa 1977).
- 26** Archiwum Roju, które mogłoby wnieść wiele rozstrzygnięć spornych kwestii, nie zachowało się, istnieje jedynie archiwum wydawnictwa Roy w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii. Zob. B. Krupa, op. cit.
- 27** Oprócz wskazanych wspomnień, zamieszczonych w książce *Pegazy na Kredytowej*, zob. też: T. Parnicki, *Rodowód literacki*, Warszawa 1974, s. 140; A. Rudnicki, *Krakowskie przedmieście pełne deserów*, Warszawa 1987, s. 165; W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie*, Kraków 2002, s. 103.
- 28** Kisterowa widzi w swoim mężu nie biznesmena, tylko zgoła dobroczyńcę ludzkości. Rój był jej zdaniem „ręką podaną rzeszy biedaków”, często żydowskich, którzy dzięki Kisterowi mieli jaki taki zarobek (op. cit., s. 62).



Marian i Hanna Kisterowie, fotografia prawdopodobnie z lat pięćdziesiątych XX wieku, reprodukowana w **Pegazach na Kredytowej**. W tej właśnie książce znajdują się bodaj jedyne dostępne (tylko dwa i oba z późnego okresu życia) wizerunki Kistera – postaci niezwykle przecież zasłużonej dla kultury polskiej

**Logotyp Roju:** „trzy pszczoły stylizowane, uczeplone beleczki”, zaprojektowany przez Edmunda Bartłomiejczyka

Wańkowiczowa w ogóle się nie pojawia (a sam Wańkowicz pojawia się jedynie w tle – jako wiecznie nieobecny współnik, podobnie zresztą, tylko na odwrót, jest we wspomnieniach Wańkowicza). To ciekawe, bo w latach okupacji, pod nieobecność właścicieli, którzy przebywali za granicą, czuwała ona nad tym, aby wydawnictwo przetrwało, opiekowała się też Hanną Kisterową i jej siostrami, które jako Żydówki znalazły się w dużo gorszym położeniu niż ona. Kiedy Hanna Kisterowa dołączyła do męża przebywającego w Portugalii, obowiązek opieki nad firmą spoczął wyłącznie na Wańkowiczowej. Wobec tego, że wydawnictwo zostało przejęte przez Niemców, jej zadaniem było upłynniać książki ze składu, o którego istnieniu nowe władze się nie dowiedziały, bo jakkolwiek działalność wydawnicza oczywiście nie wchodziła w rachubę. Firma dawała zatrudnienie i oparcie pracownikom, mimo że interes nie szedł dobrze. Składy zostały spalone przez Niemców dopiero pod koniec wojny, w 1944 roku. Po wojnie Wańkowiczowa pisała o Kisterach: „byli złymi duchami naszego życia”<sup>29</sup>. Wańkowicz najwyraźniej podzielał jej opinię. Zachowała się powojenna korespondencja między dawnymi współnikami, w której Wańkowicz wprost zarzuca Kisterowi kradzież aktywów Roju, na bazie których zbudował Roy Publishing<sup>30</sup>.

Nie jest to miejsce na rozplątanie tego węzła gordyjskiego wzajemnych żalów i krzywd, ale faktem jest, że Kister po wojnie potwierdził swoje zdolności jako wydawcy. Po tym, jak znalazł się z żoną w Nowym Jorku, bez kontaktów, bez znajomości języka, bez pieniędzy, w trudnej sytuacji wojennej – w ciągu kilku lat osiągnął duży sukces, i to wydając książki nie tylko przeznaczone dla Polonii, ale również książki polskich autorów w tłumaczeniu na język angielski, które znalazły w USA spore grono odbiorców. Potwierdzała to córka Melchiora Wańkowicza, Marta, którą Kisterowie otoczyli opieką w Ameryce. Pisała do ojca, że darzy ich szacunkiem, bo osiągnęły sukces „wściekłą, upartą pracą i darcie pazurami na placówkę, którą wszyscy uważali za straconą”<sup>31</sup>.

O nadrzędnej roli Kistera w Roju świadczy również to, że chociaż posiadał tylko jedną trzecią udziałów w spółce, miał równy z Wańkowiczem udział w jej zyskach<sup>32</sup>.

Rój, choć nie czarował młodych autorów nimbem klasyków, z pewnością miał jedną wielką przewagę nad innymi potencjalnymi wydawcami książki Schulza – mieścił się w Warszawie, był dynamiczny, właściwie typował autorów, którzy

**29** Cyt. za: A. Ziółkowska, op. cit., s. 23.

**30** Wańkowiczowi chodziło zwłaszcza o przejęcie przez Roy aktywów Roju pozostałych w USA przed wojną oraz „znaczących sum uzyskanych z likwidacji Roju w Polsce”. Sprawę tę opisują Barbara Krupa (op. cit., s. 297) i Aleksandra Ziółkowska (op. cit., passim). Szczegółową historię firmy Roy Publishing czytelnik znajdzie w artykule Barbary Krupy i w książce *Pegazy na Kredytowej*.

**31** Z listu Marty Wańkowicz do ojca z 12 XII 1945, cyt. za: A. Ziółkowska, op. cit., s. 18.

**32** Pisze o tym Wańkowicz w liście do żony z 13 III 1940, za: A. Ziółkowska, op. cit., s. 19. To Wańkowicz zaproponował taki układ i jego zdaniem był on słuszny.



mogą odnieść sukces artystyczny i finansowy, jego książki polecały „Wiadomości Literackie” i inne poczytne czasopisma, był związany z wieloma prominentnymi osobami warszawskiego świata literackiego i naukowego. Wydając swoje dzieło w Krakowie czy we Lwowie, Schulz zmarginalizowałby się jako twórca lokalny, galicyjski, co w połączeniu z prowincjonalną tematyką (na którą zresztą zwracali uwagę krytycy<sup>33</sup>) mogłoby sprawić, że jego książka przemknęłaby niezauważona. To nieprawda, że Schulz pragnął posiadać kilku rozumiejących czytelników. On pragnął sławy nawet nie ogólnopolskiej – ale światowej, miał ogromne ambicje i świadomość, że jego sztuka pozwala mu takie ambicje mieć. Stąd wybór Roju, który może nie miał nimbu Mortkowicza ani tradycji Gebethnera, miał jednak coś więcej – blask pieniądza, sławy, kapitalizmu. Kister, macher rodem z ulicy Krokodyli, dawał pewną gwarancję wyjścia poza wąskie grono snobów literackich. Po prostu – on chciał książki sprzedawać, zarabiać na nich. Był biznesmem. A Schulz dobrze znał takich ludzi z Drohobycza i Borysławia – taki był również jego rodzony brat. Tacy ludzie jak Kister mogli zapewnić mu sukces, którego pragnął<sup>34</sup>.

### Nakładem własnym

Przedwojenny księgarz Tadeusz Męczyński, znający wiele tajników pracy polskiego wydawcy, przyznawał wprost: „Powszechnym zjawiskiem było wydawanie książek nakładem własnym”<sup>35</sup>. Skoro istniał popyt: liczni młodzi poeci i powieściopisarze marzyli o tym, by stać się poczytnymi autorami, musiała się też pojawić podaż. Adolf Rudnicki, który również zadebiutował w Roju dzięki temu, że partycypował w kosztach publikacji, pisał: „Na świecie wyspecjalizowani wydawcy nadal siedzą w swoich niewielkich firmach i czekają na amatorów, niekiedy najbardziej nieprawdopodobnych [...]”. „Gacie sprzedadzą, aby wydać

33 Zob. *Bruno Schulz w oczach współczesnych. Antologia tekstów krytycznych i publicystycznych z lat 1920–1939*, red. i wstęp P. Sitkiewicz, Gdańsk 2021.

34 Te nowoczesne metody nie wszystkim jednak się podobały i krzykliwość reklamy Roju była celem ataku recenzentów, także recenzentów książek Schulza (zob. P. Sitkiewicz, *Puzony koniunkturalne. O obwołanie pierwszego wydania „Sklepów cynamonowych”, „Schulz/Forum” 2017, nr 9; idem, Bruno Schulz i krytycy*, rozdz. *Krytycy i recenzenci*). Dodatkowo jeszcze dyrektorzy Roju i Hoesicka – Marian Kister i Marian Sztajnsberg – bywali celem ataków antysemitkich. „Kuznica” pisała: „Żydzi-wydawcy to dyktatorzy smaku czytelniczego. Decydują o tym, czy dana książka nadaje się do druku czy też nie. Tu ma swe wytłumaczenie ten zalew żydowskich ramot a tak mały procent dzieł o szerszym, narodowym oddechu, które boją się po prostu pisać, nie mając widoków na ich wydanie”. Środek zaradczy proponowany przez „Kuznicę”? Wprowadzić ustawę nakazującą umieszczać na każdej książce pochodzenia żydowskiego „odpowiedni nadruk”, a w ostateczności oczywiście przekazać wszystkie żydowskie firmy w polskie ręce. W. Szewczyk, *Ghetto w literaturze*, „Kuznica” 1937, nr 16, s. 2.

35 T. Męczyński, op. cit., s. 53.

tomik”<sup>36</sup> – zdanie jednego z takich wydawców nie pozostawia złudzeń co do jego intencji.

I gacie musiało sprzedawać wielu, nawet ci wielcy. W czasach Schulza Wojciech Kossak wsparł finansowo debiuty literackie swoich dwóch córek. Powieść *Na ustach grzechu* Magdaleny Samozwaniec, wydana przez Krakowską Spółkę Wydawniczą w roku 1922, odniosła wielki sukces, choć jak pisał edytor listów tej autorki, Rafał Podraza, „znalezienie wydawcy było bardzo trudne”. Natomiast wiersze Marii Pawlikowskiej z tomu *Niebieskie migdały*, wydane w tym samym roku przez tę samą oficynę, „nie przypadły do gustu czytelnikom i prawie cały nakład został zwrócony autorce”, a potem długo jeszcze zalegał na strychu u Kossaków<sup>37</sup>. Różne były więc losy pisarzy debiutujących dzięki nakładowi własnemu, i sławne nazwisko, jak widać, wcale nie gwarantowało wydawniczego sukcesu.

Książki wydawane własnym nakładem autora – o czym pisze do Gebethnera i Wolffa Leopold Staff – mają „złą opinię i uprzedzenie”<sup>38</sup>. Z kolei Kazimierz Andrzej Jaworski wspominał, że adnotacja taka na stronie tytułowej była wstydliva, dlatego autorzy wydający samodzielnie własne książki kryli się za parawanem jakiegoś wydawcy albo jakiejś „biblioteki” funkcjonującej przy czasopiśmie literackim<sup>39</sup>. To dlatego Leśmian prosi, aby wydawca dodał swoją markę do wydanej w ten sposób książki *Sny o potędze*, powołując się zresztą na to, że taki zabieg zastosował sam Tetmajer w swym pierwszym tomie poezji. Jaworski zaś przyznawał, że znak „Biblioteki Kameny” dawał gwarancję, że książka nie jest grafomańskim płodem. Korzystali z tego więc i autor, i czasopismo, bo posiadanie własnej biblioteki tytułów świadczyło o tym, że czasopismo pręźnie się rozwija. Dodatkowo jeszcze koszty publikacji książki przez niszowe czasopisma literackie były mniejsze niż u wyspecjalizowanych wydawców.

A niektórzy wydawcy specjalizowali się w takim sposobie pozyskiwania autorów i wypracowywania dochodów. Jednym z nich była Księgarnia F. Hoesicka. Kryzys ekonomiczny odbił się bardzo na jej działalności, w związku z czym Marian Sztajnsberg zaczął wydawać utwory początkujących pisarzy na ich koszt. Umożliwił w ten sposób debiut twórcom wartościowym, ale też sprawił, że na światło dzienne wyszło wiele dzieł grafomańskich. Umowa z nakładcą-autorem była jednak w przypadku Hoesicka przynajmniej teoretycznie czytelna i sprawiedliwa: wydawca zwracał włożone fundusze wraz z honorarium w miarę sprzedaży nakładu. W ten sposób w latach 1933–1939 wydał około 250 książek i zeszytów poetyckich.

36 A. Rudnicki, *Chód z bębmem*, w: idem, *Krakowskie przedmieście pełne deserów*, s. 165.

37 Zob. komentarz Rafała Podrazy w: M. Samozwaniec, *Moich listów nie pa! Listy do rodziny i przyjaciół*, wstęp, wybór i oprac. R. Podraza, Warszawa 2014, s. 14.

38 Cyt. za: *Z dziejów firmy Gebethner i Wolff 1957–1937*, s. 77.

39 K. A. Jaworski, *W kręgu Kameny*, Lublin 1968, s. 190–191.

W praktyce było gorzej i dochodziło do wielu zatargów z autorami, Sztajnsberg bowiem nie zawsze wywiązywał się z umowy<sup>40</sup>.

Przeglądając katalogi wydawnicze i strony redakcyjne przedwojennych edycji, można też odnieść wrażenie, że niektórzy autorzy nawet w ramach jednego wydawnictwa niektóre swe dzieła wydawali na własny koszt, a niektóre nakładem wydawcy. Na przykład na stronie tytułowej poematu *Oko w oko* Antoniego Słonimskiego z 1928 roku widnieje informacja, że wydano go nakładem autora (Rój figuruje jako „skład główny”), ale zbiory jego popularnych felietonów z „Wiadomości Literackich” – *Moje walki nad Bzdurą* z 1932 i *W beczce przez Niagarę* z 1936 roku – sygnowane są już przez Rój, pewnie jako rokujące lepszą sprzedaż niż wiersze, które jak powszechnie wiadomo, „w ogóle nie idą”<sup>41</sup>.

Zanim podpisał umowę z Rojem, Schulz musiał uzgodnić zasady finansowania publikacji swojej debiutanckiej książki. Ze wspomnień Elli Podstolskiej zawartych w liście do Jerzego Ficowskiego wynika wprost, że to Izidor Schulz, brat Brunona zatrudniony na dyrektorskim stanowisku w borysławskiej spółce naftowej, został mecenasem jego debiutu: „Chyba Panu wiadomo, że mimo iż nie rozumieliśmy i nie docenialiśmy genialności Brunia, ojciec sam zapłacił za wydanie *Sklepów cynamonowych*”<sup>42</sup>. Potwierdzała to Kinga Czajka w ustnej relacji zanotowanej przez Ficowskiego („Być może myślał o kimś (o bracie?), który by sfinansował wydanie, choć nie znał się na sztuce...”<sup>43</sup>), który ostatecznie w swojej mitografii Schulza ujął to następująco: „Budowniczy szybów naftowych dopomógł w tej przełomowej chwili budowniczemu cynamonowych sklepów”<sup>44</sup>. Taką wersję wydarzeń potwierdzał zresztą poniekąd sam Schulz, pisząc do Stefana Szumana w sprawie poszukiwania wydawcy dla *Sklepów* („brat mój, który jest człowiekiem dobrze sytuowanym przyrzekł mi przyczynić się finansowo do wydania tej pracy...”<sup>45</sup>).

Trudno odpowiedzieć na pytanie, ile musiał wyłożyć z własnej kieszeni Izidor Schulz, aby jego brat mógł zostać pełnoprawnym pisarzem. Nie udało mi się znaleźć żadnych dokumentów jednoznacznie wskazujących na politykę finansową wydawców umożliwiających pisarzom *self-publishing*, ale na odpowiedź mogą nas naprowadzić wspomnienia innych autorów, którzy podążyli tą samą ścieżką co Schulz, a także międzywojenna publicystyka.

40 Sztajnsberg Marian (hasło), w: *Słownik pracowników książki polskiej*, s. 880–881.

41 Tak pisał w roku 1934 Sergiusz Kułakowski do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, cyt. za: K. A. Jaworski, op. cit., s. 344.

42 List Elli Podstolskiej do Jerzego Ficowskiego z 6 kwietnia 1976 roku, w: *Bruno Schulz w oczach świadków*, s. 257.

43 Z relacji ustnej Kingi Czajki około 1960 roku, Lublin, RDM1 5/18 – notatka Jerzego Ficowskiego, w: *Bruno Schulz w oczach świadków*, s. 71.

44 J. Ficowski, op. cit., s. 136.

45 List Brunona Schulza do Stefana Szumana z 24 VII 1932, w: B. Schulz, *Księga listów*, s. 39.

Kazimierz Truchanowski na przykład, „literacki sobowtór” Schulza, wspominał: „Napisałem *Ulicę Wszystkich Świętych*. Był to rok 1933. Wydawcy nie chcieli ze mną rozmawiać”. W końcu redaktor Biblioteki Polskiej w Warszawie oświadczył: wydanie tej książki pociągnęłoby za sobą zbyt duże koszty, a „na niepewny utwór liczyć nie możemy” – „jednak bylibyśmy skłonni pójść panu na rękę i książkę wydać pańskim kosztem i na pańskie ryzyko, [...] ale to by pana kosztowało tysiąc złotych”. Sporo. „Zrozumiałem. Tysiąca złotych nie miałem. Maszynopis wycofałem” – skwitował tę historię Truchanowski. Dalsze losy jego poszukiwań wydawcy znów w zadziwiający sposób są analogiczne do losów Schulza (jeśli można Truchanowskiemu wierzyć, bo jego skłonność do konfabulacji była powszechnie znana). W końcu dzięki rekomendacji Nałkowskiej trafia do Hoesicka, który publikuje *Ulicę*. Nie dowiadujemy się jednak, czy musi zapłacić za jej wydanie<sup>46</sup>.

Z kolei Witold Gombrowicz we *Wspomnieniach polskich* pisał: „Wybrałem się któregoś dnia do znanego wydawcy, Kistera, właściciela Roju, i przedłożyłem mu maszynopis. Zażądał żebym mu pokrył połowę kosztów nakładu. Zgodziłem się, bo i cóż miałem robić?”<sup>47</sup>. Dzięki służącej Gombrowiczów, Anieli Brzozowskiej-Łukasiewiczowej, wiemy, ile wynosiła „połowa kosztów nakładu”. Joanna Siedlecka w książce *Jaśnie Panicz* pisze: „Miała żal do wielmożnego pana [Jana Gombrowicza], że dopłacił do pierwszej książki Witolda. Od biedniejszych nie żądano wcale, żeby dopłacali. Od niego natomiast jakiś – zdaje się – Wańkowicz wyciągnął całe t r z y s t a z ł o t y c h! Wiedział, że ojciec Witolda ma pieniądze, niech więc płaci za książkę synka. Co też i oczywiście zrobił”<sup>48</sup>.

Całe trzysta złotych dla Anieli to była fortuna, ale dla wielmożnego pana zapewne suma niewielka, którą można było poświęcić na to, by zaspokoić kaprys syna.

Kolejny trop znajdziemy w artykule Wilhelma Szewczyka *Ghetto w literaturze*, opublikowanym w roku 1937 w czasopiśmie „Kuźnica”. Ten antysemitki paszkwil, opisujący rzekomo negatywny wpływ pisarzy żydowskich na polską literaturę, a zwłaszcza na czytelników, zawiera ciekawą informację, która w świetle innych dowodów może być prawdziwa. Czytajmy: „Jaki jest stosunek żydowskich wydawców do polskich utworów mówią nam następujące fakty: «Rój» od autorów polskich pobiera z góry 700 zł czy ileś tam na druk książki, po której wydaniu ciężko zdobyte przez autora pieniądze zwraca mu w ratach po 50 zł. I to się nazywa autorskie «honorarium». Własne pieniądze, które wracają do mnie w małych, kilkumiesięcznych nawet ratach. Nie koniec na tym. Firma robi na

<sup>46</sup> Cyt. za: *Pisarz o sobie*, w: Truchanowski. *Przymierzanie masek. W 100. rocznicę urodzin Kazimierza Truchanowskiego*, pod red. Z. Chlewińskiego, Płock 2004, s. 28, 31–32.

<sup>47</sup> W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie*, s. 103.

<sup>48</sup> J. Siedlecka, *Jaśnie Panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Warszawa 2011, s. 139. Podkreślenie moje.

książce kolosalny interes, bo książka stała się głośną i ciekawą. Biedny autor jednak nie ogląda z tego nic i musi sugestionować siebie i przyjaciół, że jego własne pieniądze to rzeczywiście honorarium, spłacane ratalnie. Aby mnie nie posądzono o błagę, podam nazwisko autora: Gąbrowicz [!]. Tytuł książki: *Pamiętnik z okresu dojrzewania*. – Podobnie zresztą było i z A. Rudnickim, gdy wydawał swoje *Szczury*). W ten skandal powinna wejść nawet prokuratoria. Ten wyzysk i zbijanie interesów na czyjejs pracy woła o pomstę do nieba”. Proceder ten zdaniem Szewczyka uprawiał nie tylko Rój, podobnie robili inni wydawcy, na przykład Księgarnia F. Hoesick, „zbijająca horrendalne sumy na wydawnictwach prawniczych i poetyckich”, którą dzierżawi Żyd, Steinberg [!]. „Młody poeta, wydający tomik, idzie do Steinberga – ten pozwoli położyć na książce signum swojej bądź co bądź znanej firmy, czym zapewnia książce popularność. Za to jednak p. Steinberg każe sobie słono zapłacić”. W innych, mniejszych żydowskich wydawnictwach ma być jeszcze gorzej. Zdaniem publicyisty „Kuźnicy” różni się pod tym względem firma Mortkowicza, najwyraźniej uznawana za rdzennie polską<sup>49</sup>.

Biorąc pod uwagę, że debiutanckie książki Schulza i Gombrowicza miały podobną objętość (*Sklepy* 220 stron, *Pamiętnik* 234), identyczną cenę okładkową (5 złotych), i zakładając, że ich nakład liczył 1250 egzemplarzy, możemy przypuścić, że wydanie książek obu debiutantów kosztowało podobnie: 600–700 złotych. Taką więc kwotę (lub jej połowę, jeśli został potraktowany tak jak Gombrowicz) musiał wyłożyć Izydor Schulz. Dla Brunona, który zarabiał miesięcznie około 300 złotych, było to sporo, ale Izydor, dobrze uposażony dyrektor przemysłu naftowego, mógł te trzy setki bez większego problemu wysupłać z kieszeni, by spełnić pragnienie brata.

Czy jednak to uczynił? Cień wątpliwości na szlachetny gest Izydora rzuca tajemniczy passus *Dzienników* Zofii Nałkowskiej: „O dziewiątej jadę na Żoliborz na zaproszenie Wańkowiczów. Ten właściciel wydawnictwa, zwanego Rój, w którym Schulz i Rudnicki musieli d o p ł a c i ć do swoich książek i zrzec się ponadto wszelkiej pretensji do ewentualnych dochodów (sumy te zdobyłam dla nich w Ministerstwie) – jest skądinąd pełen arystokratycznych aspiracji [...]”<sup>50</sup>. Czy z tego passusu wynika, że Nałkowska załatwiła w ministerstwie (zapewne chodzi o Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, bo ministerstwo kultury wówczas nie istniało) dotację, dzięki której opłacono koszty wydania, czy też załatwiła autorom honorarium, którego nie mogli oczekiwać ze sprzedaży książki, a może stypendium twórcze, choćby na jakiś czas zwalniające z konieczności pracy w szkole, o którym marzył Schulz? Nie wiadomo, choć biorąc pod

49 W. Szewczyk, op. cit., s. 2.

50 Z. Nałkowska, *Dzienniki*, t. 4: 1930–1939, cz. 1: 1930–1934, oprac., wstęp i komentarz H. Kirchner, Warszawa 1988, s. 416.

uwagę słowa samego Schulza („*Sklepów cynam.* nie miałem ani grosza”<sup>51</sup>) – może chodzić o to pierwsze. W każdym razie jeśli te słowa są prawdziwe (a dlaczego w sumie miałyby nie być), to zmuszają nas do rewizji poglądów na temat okoliczności debiutu Schulza.

Z dziennikowego zapisu Nałkowskiej wynika jednak coś jeszcze. Czy tak pisałaby o wydawnictwie osoba będąca jego szarą eminencją? Dostrzeżemy tu raczej dystans do instytucji („wydawnictwa zwanego Rój”), niechęć do Wańkowicza („ten właściciel pełen arystokratycznych inspiracji”) i przemilczenie roli Kistera. Ten niechętny stosunek Nałkowskiej do Roju może osłabić nasze przekonanie, że to ona załatwiła Schulzowi publikację w tym wydawnictwie, zwłaszcza że sama była autorką Gebethnera i Wolffa<sup>52</sup>. Może rola Nałkowskiej ograniczyła się jedynie do tego, że знаła warszawski rynek wydawniczy i wiedziała, które podwoje mogą się otworzyć przed debiutantem pozbawionym koneksji towarzyskich, ale za to opatrzonym finansowym wsparciem bogatych krewnych. Tą drogą przecież podążyli również Gombrowicz czy Rudnicki. Być może przypisywany w relacji Alicji Giangrande okrzyk Nałkowskiej: „Jutro lecę do Roju, aby jak najprędzej wydano tę książkę!”, był tylko fantazją powstałą *post factum*, opartą na tym, że Schulz ostatecznie w Roju swoją książkę wydał.

A w jaki sposób Nałkowska mogła trafić do Roju? Z jej *Dzienników* nie wynika, że na początku lat trzydziestych w jakikolwiek sposób była związana z tym wydawnictwem, ale w roku 1933 musiała mieć z nim co nieco do czynienia. Rok później bowiem w Roju ukazała się książka *Przedmieście* pod redakcją Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego, będąca zbiorem tekstów Zespołu Literackiego „Przedmieście”, do którego akces zgłosiła Nałkowska (opublikowała w tym tomie dwa teksty) i do którego wciągnęła również Schulza (choć nie zamieścił w antologii swojego tekstu, to jednak we wstępie Haliny Krahełskiej został odnotowany jako „członek-założyciel” grupy). Nałkowska wprawdzie nie była formalnie liderką Zespołu, ale najwyraźniej miała w nim ważny głos, skoro udało się jej włączyć do niego pisarza tak absolutnie niepasującego do założeń programowych jak Schulz. Być może więc to ona, jako najbardziej doświadczona z członków *Przedmieścia*, rozmawiała z Kisterem na temat publikacji książki, i być może przy okazji załatwiła dodatkową sprawę – sprawę debiutu Schulza. Jakkolwiek było – udało się przekonać Kistera do publikacji *Sklepów cynamonowych*, bo trzeba podkreślić, że chociaż Rój pobierał od autorów pieniądze na publikację ich książek, to jednak – inaczej niż Hoesick – dbał o jakość swojej

51 List Brunona Schulza do Zenona Waśniewskiego z 5 VI 1934, w: B. Schulz, *Księga listów*, s. 70.

52 Jedną jej książkę była przez Rój planowana, a nawet zaliczkowana, choć jej publikacji prawdopodobnie przeszkodził wybuch wojny. Zob. Z. Nałkowska, *Dzienniki*, t. 4: 1930–1939, cz. 2: 1935–1939, s. 311.



produkcji i nie wydawał dzieł grafomanów tylko dlatego, że mieli oni zasobne portfele (a przynajmniej zdarzało się to na tyle rzadko, że nie możemy tego opisać jako zasady).

## Proces wydawniczy

W Roju nie było działu korekty. Nie było redaktorów adiustujących książki przyjęte do druku. Rękopis, rzadziej maszynopis, wędrował prosto do drukarni, gdzie zecer na jego podstawie robił skład. Następnie na tak zwanych szcztokach korektę robił sam autor lub tłumacz. I to od kompetencji autora, jego spostrzegawczości, zdolności językowych, wiedzy dotyczącej pisowni zależało, czy książka roiła się od błędów i literówek, czy też nie. Czasem korekty robiła sekretarka Roju, Pola Królicka, albo literaccy doradcy Kistera – Błęszyński i Pański. I niestety książki Roju często były wydawane niedbale, pospiesznie, bez należytej pieczołowitości edytorskiej, która cechowała choćby wydawnictwa Mortkowicza. Czasem wiele do życzenia pozostawiała także kwestia składu i druku, Kister bowiem chętnie drukował książki Roju w małych warszawskich drukarniach, które reprezentowały nie najlepszą jakość, ale były tanie i godziły się realizować zamówienia na kredyt. Projekt typograficzny, a raczej, jak to ujmuje Pola Królicka w swoim wspomnieniu dotyczącym Roju, „sugestie co do składu”, robił sam Kister, projekt okładki często zlecano wybitnym współczesnym artystom, takim jak Tadeusz Gronowski, Mieczysław Berman czy Stefan Norblin – tak że na pierwszy rzut oka książka Roju wyglądała nowocześnie, atrakcyjnie i profesjonalnie<sup>53</sup>.

Zresztą brak w Roju redakcji i korekty z prawdziwego zdarzenia nie powinien nas wcale oburzać. Najwyraźniej była to powszechna praktyka, o czym świadczą wspomnienia Hanny Mortkowicz-Olczakowej. Wydawnictwo Jakuba Mortkowicza również nie miało żadnej komórki redakcyjnej. Przeczytany przez wydawcę rękopis nie podlegał żadnej adiustacji – od razu trafiał do składu. Autor brał na siebie wyłączną odpowiedzialność za tekst. „Ma się rozumieć że taki brak adiustacji mścił się nieraz na tekstach – podsumowywała tę praktykę Mortkowicz-Olczakowa. – Że wynikały z tego czasem błędy i kłopoty. Ale jak to przyśpieszało tempo!?” Mimo ręcznego składu książka mogła ukazać się w księgarni w kilka miesięcy od dnia, w którym autor położył rękopis na biurku swego wydawcy. Korektę po składzie również robił autor, korektę składu przeprowadzał zaś sam Mortkowicz. Dodatkowe korekty robili żona i córka właściciela wydawnictwa, kierownik drukarni, a także zaprzyjaźnione z autorami osoby<sup>54</sup>.

---

53 Proces wydawniczy Roju opisuje Hanna Kisterowa, przytaczając także wspomnienia Poli Królickiej. Zob. H. Kister, op. cit., s. 25–27, 57, 59–60.

54 H. Mortkowicz-Olczakowa, op. cit., rozdz. *Rękopis i korekta*, s. 105 i n.

Schulz też sam robił korekty swoich książek, na co mamy potwierdzenie w jego korespondencji. Napomknął o tym w liście do Romany Halpern: „Mam w domu od przeszło 3 tygodni korektę nowej książki mojej, której z niechęci do niej jeszcze nie zrobiłem. Muszę to przed wyjazdem załatwić, inaczej będzie mi to ciężko na sercu”<sup>55</sup>. Nie był złym korektorem, jego książki nie są co prawda zupełnie wolne od błędów, ale świadczą niewątpliwie o tym, że panował nad pisownią i interpunkcją. Trudno też powiedzieć w jego wypadku, na ile błędy obciążają konto autora, a na ile zecera.

Pola Królicka opisała także szczegółowo politykę wydawnictwa dotyczącą nakładów. Otóż każdą książkę wydawano w nakładzie 1200–1500 egzemplarzy, 800 egzemplarzy zwykle udawało się rozkolportować wśród bibliotek i wypożyczalni, 200 wśród księgarzy – i to pozwalało pokryć koszty wydania. Wszystko, co zdołano sprzedać powyżej tej liczby, było zyskiem wydawnictwa. Autorom wypłacano honoraria – 10–15 procent, wyjątkowo 18, ceny książki brutto. Tłumacze uzyskiwali honorarium za arkusze drukarskie, nie wydawnicze – 30–50 złotych za arkusz<sup>56</sup>. Prawdziwy zysk wydawnictwa tworzyły więc bestsellery – książki Zarzyckiej, Dołęgi-Mostowicza, Piaseckiego, Londona i Curwooda. Drukowano je jednak w innych nakładach niż obie książki Schulza, rekordowa pod tym względem *Dzikuska* sprzedała się w 125 tysiącach egzemplarzy. Dobrze sprzedawały się także serie „Dzieła XX wieku”, „Dokumenty epoki”, książki socjologiczne i podróżnicze.

Nie znamy umowy na pierwszą książkę Schulza, umowa na drugą, podpisana przez Mariana Kistera, była wielokrotnie przywoływana i omawiana<sup>57</sup>. Wystarczy zatem przypomnieć, że *Sanatorium pod Klepsydrą* wydano w 1250 egzemplarzach, spośród których 1000 zostało przeznaczonych do sprzedaży, a 250 na cele promocyjne. Autor otrzymał honorarium w wysokości 15 procent ceny brutto książki, a płacone miało być ono w połowie przed ukazaniem się książki, reszta zaś w trzech ratach miesięcznych po jej publikacji. A zatem, biorąc pod uwagę, że książka kosztowała 10 złotych, Schulz mógł liczyć na honorarium w wysokości 1500 złotych, sumę niemałą, na poziomie pięciu jego miesięcznych pensji. Miał też otrzymać 15 egzemplarzy autorskich. Czy umowa na *Sklepy cynamonowe* mogła wyglądać podobnie? Mogła, z tą różnicą, że zapewne nie było w niej wzmianki o jakimkolwiek honorarium autorskim, a jedynie o jakiejś remuneracji, o której wspomina w liście do Zenona Waśniewskiego. Było to wynagrodzenie wyrównawcze, rekompensata, prawdopodobnie wypłacana autorom finansującym wydanie własnej książki, którą wypłacano im, kiedy zwróciły się wydawnictwu poniesione koszty. Najwyraźniej jednak Schulz nie zobaczył z tego tytułu

55 List Brunona Schulza do Romany Halpern z 3 VIII 1937, w: B. Schulz, *Księga listów*, s. 148.

56 Zob. H. Kister, op. cit., s. 26–27.

57 Zob. B. Schulz, *Księga listów*, s. 326.

ani grosza, o czym świadczą wpis w dzienniku Nałkowskiej i jego wyznanie z listu do Waśniewskiego.

Z pewnością debiutancka książka Schulza nie ukazała się w nakładzie większym niż 1000–1500 egzemplarzy. Nawet pierwsze nakłady dzieł uznanych pisarzy niewiele wykraczały poza te liczby. Jak przypuszcza Marek Pieczonka, pierwsze wydania książek o Tarzanie, cieszących się szaloną popularnością, wyszły w Polsce w nakładzie 1000 egzemplarzy. „Należało bowiem najpierw sprawdzić zapotrzebowanie rynku czytelniczego”<sup>58</sup>.

## Sprzedaż i promocja

Schulz podpisał umowę z Kisterem. Jakikolwiek były jej warunki, były to w każdym razie warunki lepsze niż gdzie indziej (a na pewno lepsze niż w Krakowie). Jak pisała Maria Kuncewiczowa, „umowę przybijano popłutą garścią, jak kupno konia, po czym szło się na bigos do «Wróbla»”<sup>59</sup>. Po zjedzeniu bigosu, wykonaniu wszystkich prac: korekty, projektu okładki, Schulz mógł już tylko czekać, aż dotrą do niego gotowe egzemplarze. Niecierpliwił się. Pisał do Szumana: „Oczekuję lada dzień ukazania się mojej książki, z którą mi «Rój» od sierpnia zwleka. Ale wobec tego, że już jest w druku – mam nadzieję, że jednak wyjdzie”<sup>60</sup>. Wysłała pod koniec 1933 roku, z datą 1934, by dłużej zachować wydawniczą świeżość.

Publikacji *Sklepów cynamonowych* towarzyszył niemały rozgłos. Rój zresztą bardzo dbał o reklamę, co we wspomnieniach dotyczących działalności jego wydawnictwa potwierdzał sam Wańkowicz, przyznając, że z początkowego kapitału spółki, liczącego 24 tysiące, aż 16 tysięcy przeznaczono na ten cel. Schulz zatem, który, jak wiemy, zwracał uwagę na zdolność swego potencjalnego wydawcy do reklamowania książek, musiał być zadowolony. „Puzony koniunkturalne” Roju, które zabrzmiały w związku z publikacją *Sklepów*, opisałem już w innych miejscach<sup>61</sup>, przypomnę więc tylko, że zapowiedzi, anonse, fragmenty książki ukazywały się głównie w prestiżowych i poczytnych „Wiadomościach Literackich” oraz we lwowskiej „Chwili”. Pisano o niej w katalogach wydawnictwa i w publikowanym przez nie w latach 1932–1939 biuletynie „Nowości Literackie Poświęcone Praktycznym Potrzebom Czytelnictwa”. Ponadto książka spotkała się z żywym odbiorem recenzentów w całym kraju. Zabiegi reklamowe wokół drugiej książki Schulza, choć wyraźnie skromniejsze niż w wypadku *Sklepów*,

58 M. Pieczonka, *Księgarnia Wydawnicza Trzaska, Evert i Michalski*, s. 17.

59 M. Kuncewiczowa, op. cit., s. 189.

60 List Brunona Schulza do Stefana Szumana z 24 XI 1933, w: B. Schulz, *Księga listów*, s. 42.

61 Zob. przypis 34.

również nie pozostawiały wątpliwości, że Rój w dziedzinie reklamy nie miał sobie równych wśród wydawców dwudziestolecia<sup>62</sup>.

A zatem Schulz dopłacił do wydania swej debiutanckiej książki co najmniej 300 złotych – z kieszeni własnej, z kieszeni brata czy też z kieszeni podatnika. Podejrzewam, że wielu współczesnych czytelników jego prozy westchnie nad pazernością wydawcy nieskłonного zaryzykować tę nie tak znowu wielką sumę, by objawić światu arcydzieło. Czy to westchnięcie nie będzie jednak zbyt pochopne? Wydanie tego arcydzieła musiało przecież być obciążone sporym ryzykiem, nawet mimo dopłaty autora. Arcydzieła bowiem mają to do siebie, że – jak to ujmują księgarze – nie idą. Dlatego Schulz nie był ani pierwszym, ani ostatnim autorem, który musiał partycypować w kosztach wydania swego arcydzieła.

Czytelnictwo w kraju, którego większość mieszkańców utrzymywała się z rolnictwa (na granicy nędzy) i w którym co czwarty mieszkaniec powyżej dziesiętego roku życia był analfabetą, nie mogło osiągać poziomu umożliwiającego bezproblemową działalność wydawnictw. Ten skromny procent czytelników sięgających po książki inne niż groszowe serie krwawych sensacji i wielkich romansów nie był w stanie zapewnić autorowi godnego honorarium, a wydawcy choćby pokrycia kosztów przygotowania ambitnej książki do druku.

Ignacy Fik pisał: „żaden poeta nie potrafi się utrzymać ze swej twórczości, przeciętnie każdy tomik wydawany przez poetę jest deficytowy, przeciętny nakład tomiku wierszy nie przekracza dwustu egzemplarzy [...], tomik dobrego poety rozkupiony bywa przeciętnie w pięciu–dwudziestu egzemplarzach”<sup>63</sup>. Potwierdza jego zdanie „Przegląd Księgarski” z 10 października 1925 roku, który w artykule o znamienym nagłówku *Upadek czytelnictwa* relacjonował ankietę rozpisaną wśród polskich wydawców. A ci narzekają na stagnację rynku księgarskiego. Nawet przyznanie Reymontowi literackiej Nagrody Nobla nie zachęciło ludzi do kupowania jego książek. Przyczyny tego stanu rzeczy okazują się zawsze te same: kryzys ekonomiczny, trudne warunki życiowe Polaków, analfabetyzm, wysokie ceny książek, no i przede wszystkim brak zainteresowania książką wśród młodzieży, która wybiera inne sposoby spędzania czasu: sporty, technikę, harcerstwo, a także kino, wymagające mniejszego wysiłku myślowego niż książka.

Ale nawet jeśli książka będzie kosztować tylko kilkadziesiąt groszy, to czy zdoła odciągnąć młodzież od „shimmy czy foot-ballu”? Po prostu ludzie na progu XX wieku już nie interesują się literaturą. Przez to nawet wybitni poeci muszą imać się innych zajęć. Popularnością cieszy się zaledwie garstka autorów, którzy obiecują czytelnikom sensację (zwłaszcza Jack London i podróżnicy, tacy jak

62 Zabiegi reklamowe wokół dwóch książek Schulza zob. także w: *Bruno Schulz w oczach współczesnych*.

63 I. Fik, *Poezjo, precz, jesteś tyranem*, w: idem, *Wybór pism krytycznych*, oprac. i wstępem opatrzył A. Chruszczyński, Warszawa 1961, s. 39.

Goetel, Ossendowski czy Sieroszewski). Inna garstka kupuje książki „zbytkowne”, zapewne z przeznaczeniem na prezent. Do tego na czytelników skłonnych wydać własne pieniądze na książkę czyha w Warszawie zbyt duża liczba księgarń, które wzajemnie utrudniają sobie egzystencję<sup>64</sup>.

Ale jeśli nawet w dużym, stołecznym mieście czytelnictwo wygląda fatalnie, to co dopiero mówić o prowincji. Tadeusz Męczyński w latach trzydziestych założył własną księgarnię w prowincjonalnym polskim mieście i tak po latach wspominał próbę wniesienia kaganka oświaty pod strzechy: „Młodzież szkolna zaglądała do księgarni najczęściej z przymusu, kupując podręcznik lub obowiązkową lekturę. Inteligencja – owa małomiasteczkowa elita – nie tylko nie kupowała książek, ale prawie nic nie czytała. [...] Całe tak zwane życie kulturalne koncentrowało się w knajpie lub w domu prywatnym, gdzie całymi nocami grano w preferansa lub w «prędkiego». W niedzielę spotykano się w kościele lub po prostu na ulicy. Nuda i beznadziejność”<sup>65</sup>.

Myliłby się jednak ten, kto uznałby ten fatalny stan za polską specyfikę, spowodowaną przez lata edukacyjnego zaniedbania ze strony władz zaborczych. Zdaniem Hanny Mortkowicz-Olczakowej pesymistyczne przekonanie, że nadzedł „zmierzch książki”, było w kryzysowych latach dwudziestych powszechne na całym Zachodzie<sup>66</sup>.

Pod koniec artykułu z „Przeglądu Księgarskiego” przebija nadzieja, że ludziom znudzą się „piskliwe okariny, bębny z dzwonkami, wrzaski murzynów w dancingach i afrykańskie tańce – a wtedy zajrzą do starej biblioteki, w której czekają zapomniane wierne książki”. Ale smutny ton tego proroctwa zdradza, że nie wierzy w nie nawet sam prorok<sup>67</sup>.

Taki stan rzeczy skutkowało tym, że nawet wybitne dzieła rozchodziły się w długim czasie, co sprawiało, że wydawca uzyskiwał zwrot poniesionych kosztów (jeśli w ogóle) – nawet po kilku latach. Tadeusz Męczyński wspominał: „znakomita większość książek nie rozchodziła się wcześniej niż w ciągu dwóch, trzech i więcej lat. Było też sporo tzw. «kamieni», które całymi latami zalegały składy i magazyny, rozchodząc się powoli, po jednym egzemplarzu, aby wylądować w końcu jako tzw. «ramsz» sprzedawany na ulicy po cenie dziesięciokrotnie niższej od normalnej”. Dopiero wówczas książki zdaniem Męczyńskiego sprzedawały się szybko – co potwierdza bodaj powszechną intuicję, że gdyby książki były tańsze, znalazłyby dużo większe grono odbiorców<sup>68</sup>.

**64** *Upadek czytelnictwa*, „Przegląd Księgarski”, 10 października 1925, s. 498–500. Artykuł ten jest omówieniem ankiety przeprowadzonej wśród polskich wydawców, której wyniki opublikowano w numerze 252 „Gazety Warszawskiej”.

**65** T. Męczyński, op. cit., s. 68.

**66** H. Mortkowicz-Olczakowa, op. cit., s. 271.

**67** *Upadek czytelnictwa*, s. 501.

**68** T. Męczyński, op. cit., s. 56–57.

Czy Schulz był kamieniem dla Kistera? Czy wylądował jako ramsz na wózkach ulicznych handlarzy? Przypuszczam, że nie. W katalogu Roju z roku 1938 *Sklepy cynamonowe* widnieją z adnotacją „wyczerp”, a więc nakład liczący zapewne 1000–1500 egzemplarzy rozszedł się mniej więcej w cztery, pięć lat<sup>69</sup>. Czy to dobrze, czy źle? Pewnie przeciętny czytelnik powie, że nie najlepiej, ale każdy, kto pracował w wydawnictwie publikującym ambitną literaturę, powie, że nie najgorzej. Wydany nieco wcześniej niż *Sklepy Pamiętnik z okresu dojrzewania* Gombrowicza widnieje w katalogu Roju z promocyjną ceną (1 złoty), a więc na półce, na której leży wydawniczy ramsz. A *Sanatorium pod Klepsydrą*? Trudno powiedzieć, ale bardziej niż pewne jest, że książka wydana w roku 1938 nie zdążyła się sprzedać w całości do wybuchu II wojny światowej, a później musiała podzielić losy większości warszawskich księgozbiorów.

### Honorarium

Warto w tym miejscu zapytać, jak z tymi ponurymi wizjami upadku książki i czytelnictwa licują obrazy bajkowego bogactwa wydawców. Wszak stereotypowy obrazek wydawcy w złotej karcie obryzgującego błotem biednego autora idącego piechotą miał w dwudziestoleciu międzywojennym już długą tradycję, sięgającą XVIII wieku<sup>70</sup>. O kolosalnych zyskach największych polskich wydawców świadczył ich inwentarz – Gebethner miał okazałą siedzibę, ogromne składy, drukarnie, oddziały w całej Polsce, majątek ziemski, udziały w spółkach wydawniczych. „Kochani Krwiopijce, kochani miliardrowie” – tak kąśliwie zwracał się do swoich wydawców Prus, próbując wydobyć z ich szkatuły kolejną zaliczkę albo zaległe honorarium. Za wydawcami od XIX wieku ciągnęła się zła sława skąpców, kapitalistów i wyzyskiwaczy, wyostrzona przez romantyków, przeciwstawiających genialnego poetę filisterskiemu przedsiębiorcy. Uważano jednak, że tak ma być: autorowi sława, wydawcy – zysk<sup>71</sup>.

Chociaż w czasach Schulza kwestie prawnej ochrony własności intelektualnej autora były już uregulowane i ugruntowane, to jednak pokutowało dawne podejście, zakorzenione w poprzednim wieku. Prawo autorskie powstało w interesie wydawców i ich interes zawsze chroniło przede wszystkim, nawet gdy wydawcy postulowali ustanawianie ochrony praw autorów dla ich dobra. Powodowało to jednak liczne scysje na linii autor–wydawca, a także problemy materialne tych autorów, którzy chcieli żyć wyłącznie z pióra.

69 Katalog ten wraz z komentarzem zob. w: S. Rosiek, *Schulz w katalogu Towarzystwa Wydawniczego „Rój”*, „Schulz/Forum” 2012, nr 1.

70 Zob. T. Święckowska, *Kochani krwiopijce. Własność literacka i prawo autorskie w XIX-wiecznej Polsce*, Kraków 2018, s. 5.

71 T. Męczyński, op. cit., s. 53–54.



Honoraria wydawnicze były tak niskie, że nie dawały autorowi żadnego zabezpieczenia finansowego, uniemożliwiały więc spokojną pracę literacką. Sprawę pogarszały dodatkowo niskie nakłady książek. Problemy z płatnościami i przedkładanie względów handlowych ponad artystyczne nie dotyczyły też bynajmniej wyłącznie małych wydawców. Nałkowska pisze w *Dziennikach* pod datą 6 października 1929 roku: „Więc oto Gebethner mi powiada, że nie tylko nic teraz, ale nie może wskazać terminu, w którym być może. I to pomimo, że w tych dniach wyjdzie trzecie wydanie *Księcia* [...], że *Niedobra miłość* jest na wyczerpaniu, że tom więzienny [...] jest prawie gotowy”<sup>72</sup>. Bolesław Leśmian marzy, by osiągnąć finansową niezależność, która pomoże mu „przykrócić pyska” Jakubowi Mortkowiczowi, człowiekowi niesłownemu, zuchwałemu i zepsutemu, który „lubi swoje handlowe wrzody wystrajać w szaty znawstwa i artystyzmu”<sup>73</sup>. Ten medal ma też jednak drugą stronę. Wydawcy uważali, że ponoszą ryzyko finansowe, próbując na trudnym polskim rynku publikować niesprzedawne książki, którego to ryzyka żaden z autorów, przekonanych o swym geniuszu, nigdy nie doceni. „Stosunki między pisarzami a wydawcami zazwyczaj są pełne zadrażeń i wzajemnych pretensji. Każda ze stron ma poczucie, że jest wykorzystywana”<sup>74</sup> – wzdychała wnuczka Jakuba Mortkowicza, Joanna Olczak-Ronikier.

Rój mimo ogromnej produkcji i licznych zaszczytów uchodził za firmę niestabilną ekonomicznie, opierającą się na kredycie względem drukarni i papierni i niewywiązującą się ze zobowiązań, także względem autorów, często stojącą na skraju bankructwa. Działał jak w tym dowcipie o facecie bez pieniędzy, który cały dzień jeździł dorożką, bo gdyby z niej wysiadł, musiałby zapłacić<sup>75</sup>. Wszystko to powodowało, że powszechna była opinia, iż „ten «Rój» powinien siedzieć w ulu”, czyli w więzieniu<sup>76</sup>. Schulz niewątpliwie odczuł to na własnej skórze. Musiał wielokrotnie pisać do Kistera, upominając się o honorarium albo o dodatkowe egzemplarze autorskie. W roku 1938 skarżył się Romanie Halpern: „Z mojej podróży do Paryża na razie nic. Kister nie posyła mi pieniędzy. Dziś napisałem wreszcie do niego”; „Prosiłem przed jakimiś 2 tygodniami Kistera (Rój) o przysłanie egz. *Sklepów*, który potrzebny mi jest dla tłumaczki we Wiedniu. Zarówno ta prośba, jak i pewnie wskazane adresy krytyków, którzy prosili o *Sanatorium* – została zlekceważona. Oni mnie strasznie bagatelizują”. Podobnie skarżył się w roku 1934 Zenonowi Waśniewskiemu: „*Sklepów cynam.* nie miałem

72 Z. Nałkowska, *Dzienniki*, t. 3: 1918–1929, oprac., wstęp i komentarz H. Kirchner, Warszawa 1980, s. 429.

73 List Bolesława Leśmiana do Zenona Przesmyckiego z roku 1914, w: B. Leśmian, *Utwory rozproszone. Listy*, zebrał i oprac. J. Trznadel, Warszawa 1962, s. 340–341.

74 J. Olczak-Ronikier, op. cit., s. 196.

75 Dowcip ten, charakteryzujący działalność Roju, przytacza sam Wańkowicz w tekście *Wspomnienia wydawcy*.

76 P. Kitrasiewicz, *Towarzystwo Wydawnicze „Rój”*, s. 18.

ani grosza. Przeciwnie kosztowały mnie one kilka wyjazdów do Warszawy. «Rój» obiecał mi wprawdzie w razie wyczerpania nakładu jakąś remunerację, ale wątpię, czy dotrzyma słowa”; „Nie mogę jeszcze ciągle zrewanżować się moją książką, gdyż ani jeden egzemplarz mi nie został. Napisałem do «Roju» z prośbą o parę egzemplarzy, ale mi nie przysłali jeszcze”; „Nie mogłem Wam posłać egzemplarza autorskiego, jak byłbym pragnął, gdyż «Rój» dał mi małą ilość egzemplarzy, którą zaraz w Warszawie rozdałem krytykom i wpływowym osobom”<sup>77</sup>.

Ten lekceważący stosunek Kistera wobec autora nie ograniczał się jednak bynajmniej do uległego, spokojnego Schulza, mieszkającego na dalekiej prowincji i niemającego żadnych narzędzi nacisku na zwlekającego z realizacją swoich powinności wydawcę. W książce *Maria i Magdalena* Magdaleny Samozwaniec ukazana została zabawna scenka ilustrująca próbę wydobycia od Mariana Kistera autorskich należności. Warto zacytować dłuższy fragment, albowiem podobna sytuacja mogła również dotyczyć Brunona Schulza, który z pewnością podczas jednej z licznych podróży do Warszawy odwiedził swego wydawcę.

Magdalena wchodzi do siedziby Roju, zwraca się do ładnej brunetki urzędującej przy zawalonym papierami stoliku i informuje, że przyszła po zaległe honorarium. Pięćset złotych. Brunetka, pani Marianowa, oznajmia ze łzami w oczach, że Marianek całą noc lumpował się z jakąś pannicą i jest bez grosza. I jak tu biedną żonę zamęczać w takiej chwili swoim honorarium! Z gabinetu dyrektora wybiega uznany poeta, czerwony ze złości. Też nic nie wskórał. „Wszyscy chcą pieniędzy, nawet poeci... niby to bujają w obłokach, ale w rzeczywistości chodzą po ziemi i zamęczają biednych wydawców o pieniądze. Nikt... nikt nie ma nad nami litości! A skąd ten biedny Marian ma je brać?” Magdalena decyduje się jednak wkroczyć do „kancelarii naczelnego wydawcy”:

„– Dzień dobry, kochany panie Marianku!

– A, to pani Madzia. Ale ja forsę dla pani nie mam.

– Przecież mi pan wyraźnie kazał przyjść dzisiaj o dwunastej...

– Kazał... kazał... a po co mnie pani słucha?

– Panie Marianie, bez żartów. Ja dzisiaj muszę mieć pieniądze.

[...]

– Pani Madziu [...] pani jest młodą przystojną kobietą. Czy pani by nie mogła zarabiać inaczej?

[...]

– Pan mnie obraża! Idę i noga moja więcej tu nie postanie! – Ale siedzi i oczami aż ciemnymi z wściekłości świdruje ospałą i flegmatyczną twarz pana Mariana.

---

<sup>77</sup> Listy Brunona Schulza do Romany Halpern z 3 III 1938 i około połowy lutego 1938 oraz do Zenona Waśniewskiego z 5 VI 1934, 24 III 1934 i 24 IV 1938, w: B. Schulz, *Księga listów*, s. 39, 65, 70, 165, 168.

– No, niech się pani nie gniewa. Pożartować nie wolno? Dam pani czek na trzysta złotych. Niech pani idzie do Wendego na Krakowskie Przedmieście. Jeśli będą mieli gotówkę, to pani jeszcze dziś wypłacą”.

Magdalena z poczuciem zwycięstwa idzie do księgarni Wende i Spółka, by spieniężyć czek. Okazuje się jednak, że czek jest bez pokrycia. „Co pani sobie myśli właściwie, że my mamy kopalnię pieniędzy?! – słyszy przy kasie – «Rój» wybrał już od nas wszystko, co mu się należało z całego miesiąca. Musi pani poczekać, aż się znowu coś ueziera. Niech pani się dowie za tydzień... dwa, może coś będzie, ale nie mogę zaręczyć”<sup>78</sup>.

Takie rozmowy mogły się odbywać codziennie w kantorach wszystkich polskich wydawców. Potwierdza to w swoich wspomnieniach Irena Krzywicka, pisząc, że Melchior Wańkowicz „przyjmował autora owacyjnie, z sercem na dłoni, zabawiał dowcipną rozmową «między pisarzami», ale kiedy dochodziło do spraw finansowych, twierdził, że się tym nie interesuje, i odsyłał do Mariana Kistera. Ten był, owszem, uprzejmy, ale twardy. Nie lubił dawać zaliczek, chętnie płacił weksłami”. Magdalena Samozwaniec wspomina też Mariana Sztajnsberga, który „również niechętnie wypłacał honoraria gotówką”, za to chętnie gościł swoich autorów na wystawnych obiadach i kolacjach, po których „strasznym nietaktem było dopominać się jeszcze o brzęczącą monetę”<sup>79</sup>. W powszechnej opinii jednak dla takich ludzi jak Mortkowicz niemożność zapłacenia umówionej raty autorowi czy uregulowania zobowiązań z bankiem była nie do zniesienia, a takim ludziom jak Kister czy Sztajnsberg – nie sprawiała żadnych problemów. Takie rozróżnienia, opierające się na wątpliwych fundamentach, były jednak również podstawą antysemickich elukubracji prawniczej prasy.

Niewinnych jednak w tym interesie trudno było znaleźć. Większość – poza chlubnymi wyjątkami takich wydawnictw jak Trzaska, Evert i Michalski – nie płaciła, i to z różnych przyczyn. Teresa Święckowska twierdzi, że „Duże firmy warszawskie jak G&W miały wysokie zyski i mogłyby z pewnością płacić autorom więcej. Ponieważ jednak należały do tych, które i tak płacą najlepiej, nie było ekonomicznego powodu, aby to zmieniać. Skąpstwo wydawców Gebethnera i Wolffa było znanym przedmiotem żartów i ironii w środowisku literackim”<sup>80</sup>. Na nic więc zdawały się błagania autorów żyjących w nędzy – wydawcy nie płacili i już.

Nie tylko nie płacili. Teresa Święckowska twierdzi, że częstym zwyczajem było robienie przez wydawcę nadbitek utworu bez wiedzy autora. Autor ponadto miał niewielkie możliwości skontrolowania, czy nakładu nie wydrukowano ponad umówioną liczbę egzemplarzy albo czy nie dodrukowano kolejnego nakładu bez jego wiedzy. I były to praktyki nie tylko szemranych oficynek, ale również

**78** M. Samozwaniec, *Maria i Magdalena*, cz. 2, Szczecin 1987, s. 176–177.

**79** Ibidem, s. 177–178. Zob. też I. Krzywicka, op. cit., s. 304.

**80** T. Święckowska, op. cit., s. 193.

największych graczy, między innymi Gebethnera i Wolffa, który dodrukowywał pozaumowne nadbitki książek nawet takich autorów, jak Sienkiewicz, Żeromski czy Reymont<sup>81</sup>.

Innym nieuczciwym zabiegiem, w którym z kolei celował Rój, było szybkie obniżanie ceny książki, dewaluujące jej wartość. Kisterowi zależało na szybkim obrocie – po tym, jak wydawnictwu zwróciły się koszty publikacji, cenę obniżano o 50, a nawet 80 procent, a zdobyte w ten sposób środki przeznaczano na publikacje kolejnych tytułów, licząc, że któryś z nich osiągnie nakład bestsellerowy i przyniesie wydawcy prawdziwy zysk. To jednak nie podobało się księgarzom, z książką bowiem po nominalnej cenie nie mogli oni konkurować z ulicznym handlarzem, który tę samą książkę sprzedawał za tej ceny ułamek. Praktyki takie jednak najwyraźniej nie uderzały w autorów, gdyż umowa gwarantowała 15 procent ceny brutto książki, płatne kilka miesięcy po wydaniu, a więc niezależnie od liczby sprzedanych egzemplarzy albo faktycznej ceny, za którą książki sprzedano<sup>82</sup>.

Chęć osiągnięcia dużego zysku w krótkim czasie (a także zwiększenia honorarium autora) mogła dyktować też politykę cen Roju. Bo jak racjonalnie wytłumaczyć, że druga książka Schulza, o podobnej objętości co *Sklepy* (264 strony), kosztowała dwukrotnie więcej?<sup>83</sup> Czy cenę tę zwiększała obecność ilustracji? Czy też to, że pozbawiona dofinansowania była paradoksalnie – mimo doskonałej prasy Schulza – przedsięwzięciem bardziej ryzykownym niż *Sklepy* i w związku z tym trzeba było zapewnić jej wyższą stopę zwrotu poniesionych kosztów?

■

Mimo tych wszystkich niedogodności Schulz pozostał wierny Kisterowi. Nie tylko opublikował w Roju dwie swoje autorskie książki, ale również przygotował

<sup>81</sup> Ibidem, s. 186–188.

<sup>82</sup> O takich praktykach Roju pisze Jan Okopień (*Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, „Wydawca”* 2000, nr 3, s. 24). Irena Krzywicka ujmuje to drastycznie: „prawdę mówiąc, gospodarka była rabunkowa. Firma wydawała około 2000 egzemplarzy powieści, rzucała ją na rynek i trzymała na nim parę tygodni, po czym wszystko, co zostało, szło do «kosza». Mimo to autorzy szli do Roju, bo „na druk książki nie czekało się długo i wydawca nie wtrącał się do jej treści i formy” (op. cit., s. 304).

<sup>83</sup> Kiedy przyjrzymy się katalogowi Roju, zorientujemy się, że 10 złotych za taką książkę jak *Sanatorium pod Klepsydrą* było to bardzo dużo. Książki autorów z tej samej co Schulz półki z reguły kosztowały mniej: *Pamiętnik z okresu dojrzewania* Gombrowicza i *Niekochana* Rudnickiego 5 złotych, *Proces* Kafki 6 złotych, *Ferdynurke* 7 złotych itd. Co ciekawe, w reklamie poprzedzającej wydanie *Sanatorium*, opublikowanej pod koniec roku 1937 w „Nowościach Literackich”, widnieje przy tytule cena 5 złotych. Umowa między Rojem a Schulzem mówi, że książka będzie kosztować 6–10 złotych. Co zatem spowodowało, że wkrótce cena osiągnęła zakładany maksymalny poziom? Zob. „Nowości Literackie” 1937, nr 60–62, s. 4.

dla niego wraz z Józefiną Szelińską przekład *Procesu* Franza Kafki<sup>84</sup>, a także na jakiś czas zatrudnił się jako regularny recenzent nowości wydawniczych Roju dla „Wiadomości Literackich”<sup>85</sup>.

Żyjąc w monogamicznym związku z Rojem, Schulz jednak najwyraźniej skrycie fantazjował o jakimś przelotnym romansie. Snuł na przykład fantazję o opublikowaniu jednej noweli „w luksusowym wydaniu u Mortkowicza”<sup>86</sup>...

---

**84** Szelińska zwierzała się Jerzemu Ficowskiemu w tej sprawie: „Otrzymaliśmy 1000 złotych, ja 600, Bruno 400, podział rzetelny, bo bez jego inspiracji nie byłoby tłumaczenia, a pieniądze były Brunowi b. potrzebne”. List Józefiny Szelińskiej do Jerzego Ficowskiego z 5 IX 1967 (Archiwum Jerzego Ficowskiego w BN). Za udostępnienie tej korespondencji dziękuję prof. Jerzemu Kandziorze.

**85** Kulisy takiej umowy odsłania nieco Józefina Szelińska w listach do Jerzego Ficowskiego: „«Rój» ofiarował mi [Schulzowi] książki, z których tylko niektóre, odpowiadające mu wybierał, a inne znalazły się w mojej biblioteczce warszawskiej” (list z 28 VIII 1967); „Z «Roju» dostawał egzemplarze recenzyjne, które w czasie pobytu w Warszawie zostawiał u mnie, jeśli nie stawały się przedmiotem jego recenzji” (list z 5 IX 1967). Ibidem.

**86** *Rozmowa z autorem „Sklepów cynamonowych”*. (Wywiad z Brunonem Schulzem), „Nowy Kurier” 1938, nr 7, s. 4–5 (zob. *Bruno Schulz w oczach współczesnych*, s. 330).